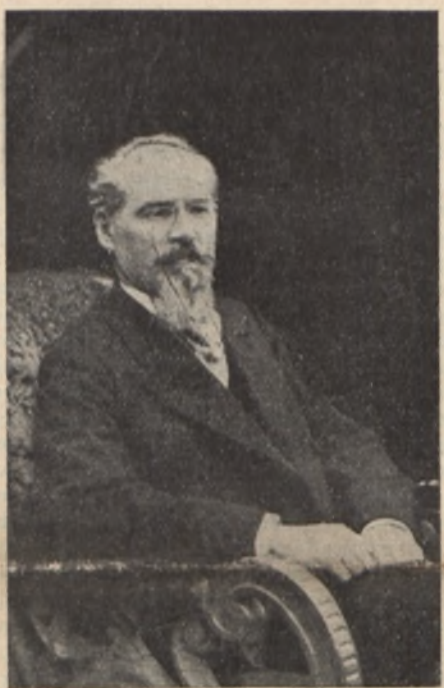
PION

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

ROK III * WARSZAWA * SOBOTA — CENA 50 GR. — 2 LISTOPADA 1935 R. * NUMER 44 (109)

SPOŁECZEŃSTWO POLSKIE JAKO PRZEDMIOT BADAŃ SOCJOLOGICZNYCH

(NA MARGINESIE DRUGIEGO ZJAZDU SOCJOLOGÓW W WARSZAWIE)



Prof. Ludwik Krzywicki



Prof. Florjan Znaniecki

Wszyscy, których pasjonuje współczesna rzeczywistość społeczna, zazdrościć muszą szczęśliwym pokoleniom przyszłego stulecia, w którem nasze czasy staną się przedmiotem badań naukowych. Otworzą się już wtedy archiwa, odpowiednio coprawda przesortowane przez zainteresowane czynniki, a półki księgarskie zaroją się od przyczynków historycznych. Ale może niema co zazdrościć pokoleniom, które będą te przyczynki czytały. Obraz naszej rzeczywistości będzie w nich z pewnością tak szczątkowy, wypaczony lub zgoła fałszywy, jak nasze konwencjonalne i tendencyjne poglądy na ubiegłe epoki, które od czasu do czasu przechodzą rewizję dyktowaną przez nowoodkryte fragmenty archiwów, nowe prądy intelektualne, modę lub potrzebę przystosowania obrazu przeszłości do ideologicznych potrzeb teraźniejszości. Martwe szczątki naszej epoki zostaną z pewnością drobiazgowo skatalogowane z całą możliwą objektywnością opracowane, ale jej żywi ludzie nie dojdą nigdy do głosu. I choć o nas będą wtedy pisali, nie o nas będzie chodziło. Dla siebie, nie dla przyszłości będą te pokolenia pisały naszą historję i z perspektywy dziejowej będą w naszej epoce widziały zupełnie co innego, niż my w niej widzimy. Albo raczej one ją będą widziały (jakkolwiek jednostronnie i fałszywie), podczas gdy my ją przeżywamy, lecz nie widzimy wpełni. Nie potrafimy jej bowiem jeszcze historycznie i socjologicznie zlokalizować.

Nie trzeba dowodzić, że taki retrospektywny charakter naszej wiedzy o społeczeństwie tłumaczy się w części przez liczne trudności i przeszkody na drodze badania współczesności, a w części przez tradycje naukowe, według których życie społeczne staje się przedmiotem godnym nauki dopiero wtedy, kiedy przestaje być życiem, jest istotnym defektem tej wiedzy, przyczyną jej jednostronności i uwstecznienia. Braki te mogą być usunięte, jedynie przez uzupełnienie bardzo rozbudowanych historycznych badań nad życiem zbiorowem, przez zaniedbane dotychczas badania socjologiczne nad rzeczywistością społeczną współczesną. Poznanie przeszłości jej własnemi oczami i poznanie współczesności jej własnemi oczami, z uwzględnieniem tych elementów przeszłości, które w niej żyją, stanowią dwa uzupełniające się ściśle ujęcia życia zbiorowego ludzi.

Wiedza naukowa o społeczeństwie polskiem jest z tego stanowiska w ogromnem zaniedbaniu. Historyczne badania dotknęły zaledwie XIX stulecia i to raczej w jego aspektach politycznych, niż gospodarczych i społecznych, a społeczne procesy formującego się państwa polskiego, niezmiernie interesujący socjologicznie proces zlewania się różnych dzielnic w jedną społeczność państwową, stanowią teren zupełnie jeszcze nietknięty. A badanie tego procesu jest nietylko teoretycznie interesujące, lecz i doniosłe praktycznie. Jest to forma samopoznania, tem ważniejsza dla nas, niż dla innych narodów, że nasza ciągłość rozwojowa została przerwana, i historja ostatniego półtora wieku jest magistra vitae niezbyt godną naśladowania.

Dzieje nasze tłumaczą dostatecznie, dlaczego nasza struktura społeczna jest tak nieprzejrzysta i ogromnie zróżnicowana, tak trudna do ujęcia. Niełatwa to rzecz przedstawić sobie społeczeństwo, którego jedne części żyją jeszcze na poziomie gospodarki naturalnej, podczas gdy inne weszły już w okres wielkiego kapitalizmu. Nic nas nie usprawiedliwia jednak, że dotychczas tak niewiele zrobiliśmy dla poznania samych siebie jako społeczeństwa. Jakiejkolwiek dziedziny życia społecznego dotknęlibyśmy, wszystko jest jeszcze do zrobienia, wszystko niemal trzeba zaczynać od początku. Nie posiadamy dotychczas społecznej typologji wsi, ani miast, nie opracowaliśmy problematyki ich rozwoju, nie wiemy co się w nich dzieje w okresie, który jest okresem głębokich przeobrażeń społecznych. Nie mamy ani jednej monografji naukowej warstwy chłopskiej i robotniczej, a to co wiemy o innych warstwach społeczeństwa naszego nie opiera się na naukowych badaniach. Jedyne, obecnie już klasyczne, pięciotomowe dzieło o chłopie polskim *The Polish Peasant in Europe and America* Thomasa i Znanieckiego, które zrewolucjonizowało nauki społeczne w Ameryce i wywarło silny wpływ na rozwój metod badań społecznych w Europie, nie zostało, choćby w skrócie, przyswojone językowi polskiemu.

Żadna z grup zawodowych nie ma jeszcze gruntownej, socjologicznej monografji, jak również nie mają jej najważniejsze instytucje naszego społeczeństwa — rodzina, szkoła, sądownictwo, samorząd i t. p. Najbardziej zaawansowany teoretycznie dział socjologji naszej, socjologja wychowania i szkoły, w zakresie której wyprzedzamy znacznie wszystkie kraje, cierpi jednak na brak studjów monograficznych, opartych na konkretnym materjale faktycznym z naszego społeczeństwa. W rezultacie nie wiemy naprawdę dokładnie, jak na tle całokształtu ekonomiczno-społecznych warunków naszego kraju działa społeczny mechanizm szkoły i jakie są jego skutki społeczne. Informacje nasze pod tym względem są zgoła dorywcze i przypadkowe.

*

Co jednak najważniejsze, poczyniliśmy zaledwie pierwsze kroki w kierunku zorganizowania systematycznego gromadzenia materjałów do procesów i przeobrażeń społecznych współczesnego społeczeństwa polskiego, do funkcjonowania jego najważniejszych instytucyj społecznych. Tymczasem materjał taki, systematycznie gromadzony, jest niezbędny dla przyszłego badacza stosunków i procesów społecznych poto, aby praca jego nie była zależna od tak przypadkowego i jednostronnego materjału, jakim rozporządzają badacze epok ubiegłych. Dwie zasłużone już w tym kierunku placówki naukowe: Polski Instytut Socjologiczny w Poznaniu i Instytut Gospodarstwa Społecznego w Warszawie nie są w stanie rozwinąć swojej działalności na większą skalę z powodu trudności finansowych, z jakiemi walczą. Znakomity materjał do naszego przełomowego okresu dziejów Polski, jakim jest 150 życiorysów robotniczych, zebranych przez Polski Instytut Socjologiczny w 1923 roku, lata całe czeka już nawet nie na naukowe opracowanie, ale choćby na naukowe skatalogowanie, któreby udostępniło je dla pracy naukowej. Podobne losy czekają wspaniały zbiór 200 życiorysów śląskich zebrany przez Polski Instytut Socjologiczny drogą konkursu w 1934 roku, na których skatalogowanie, opracowanie i częściowe ogłoszenie znikąd nie można było uzyskać pomocy finansowej. Niezastąpiony ten materjał, który, opracowany i uzupełniony przez systematyczne badania socjologiczne, stanowiłby podstawę dla badań nad przełomowym okresem dziejów Śląska, skazany jest w tych warunkach na zmarnowanie. Polski Instytut Socjologiczny nie ma bowiem ani jednej płatnej siły naukowej, a zorganizowany jest przy katedrze socjologji, która nie ma nawet etatu młodszego asystenta.

*

W obliczu takich trudności rozwoju socjologji w Polsce obraduje w dniach 1, 2 i 3 listopada Drugi Zjazd Socjologów w Warszawie. Na czoło jego obrad wysuwają się przeto następujące potrzeby: (1) potrzeba skoordynowania pracy badawczej pokrewnych ośrodków badawczych i pracy indywidualnych badaczy, (2) potrzeba zorganizo-

P O W R Ó T

Już celnik nie będzie więcej przetrząsał walizek i tobołów —
Gorzki i kłopotliwy zwiastun jesiennej ojczyzny —
Nie zabierze tureckich szalów, bułgarskich tac i konfitur —
I winogron, do których nikt się nie chce przyznać.
Można teraz patrzeć sentymentalnie na pola z szerokich okien wagonu
I wsłuchiwać się w wiatr metalowy jak w spiżowe, melodyjne dzwony,
Można witać jak bliskich i miłych znajomych
Stare sosny nad drogą, błotne ścieżki i garbate domy.

Wtem na polach ojczyste krowy
Skubią ojczystą trawę —
I chmurkami bekliwe barany
Ciężkie i kędzierzawe.

Więc nagle z wszystkich okien baranami wrzasło:
Że barany, że polskie barany —
I ojczyzna surowa jak młoty i zwięzła jak hasło —
W zbaraniałych głowach krajem baranim wyrasta.
I we wszystkich wagonach i radość i śmiech:
Powracamy, zobaczymy znów baranie miasta
I baranie wsie.
Powitamy baranich znajomych —
Powracamy, powracamy do baranich domów.

I jakże nie podziwiać cię, polska jesieni,
Pogardliwą mądrością wyniosła.
Oto nagle z zachmurzonych niebios
Falami deszczu zaniosło.

Oto mądra narodowa jesień
Na baranie, patrjotyczne głowy
Leje zgóry z pogardliwym gestem
Kubły zimnej wody!

WOJCIECH BĄK

wania zbiorowych badań nad współczesnem społeczeństwem polskiem ze szczególnem uwzględnieniem problemów wsi polskiej, (3) stworzenie ogólno-polskiego Towarzystwa Socjologicznego, z centralnem archiwum socjologicznem, a wreszcie (4) sprawa (którą należałoby umieścić raczej na samym początku) zapewnienia możności pracy naukowej młodym pracownikom naukowym w zakresie socjologji, którzy obecnie kończą swoje studja poto, ażeby zasilać szeregi bezrobotnych.

Badania socjologiczne nie mają możności eksperymentowania, a ich owocność naukowa zależy od wszechstronnej metodycznej, nieprzerwanej obserwacji wybranych objektów — instytucyj, grup, miejscowości, procesów — w ciągu długiego okresu czasu, w ciągu conajmniej kilku pokoleń. Tego typu badania, wymagające ciągłości i równoczesnego ujęcia przedmiotu badanego z różnych punktów widzenia i przy pomocy różnych metod, przekraczają siły indywidualnego pracownika naukowego. Dla takiego charakteru nowoczesnych badań socjologicznych, które wymagają rzeszy pracowników wyszkolonych w pracy badawczej, nie w bibljotekach i nie przy biurku, ale w bezpośredniem zetknięciu z żywemi zbiorowościami ludzkiemi, mało jest zrozumienia nietylko w kołach ludzi wykształconych, lecz również wśród pracowników naukowych innych działów nauki, z których wielu swój sąd o socjologji opiera wciąż jeszcze na lekturze Augusta Comte'a lub Herberta Spencera.

JÓZEF CHAŁASIŃSKI

O DUSZĘ BURKA

Debiut Wincentego Burka, opowiadania *Droga przez wieś*,[1] spotkał się z dużem uznaniem, dzięki talentowi autora—i dzięki polityce — polityce, która dziś obiera sobie bardzo często literaturę jako dogodny punkt wypadowy, podobnie jak podczas wojny wieże kościołów musiały służyć za gniazda reflektorom i karabinom maszynowym.

Z pierwszego rzutu oka te opowiadanka wydają się małoważne i bezwynikowe. Ich budowa literacka jest bardzo prosta: autor pokazuje jakąś sytuację, jakiegoś człowieka w jego charakterystycznej postawie, a potem co najwięcej jedną tylko zmianę, wywołaną albo przez poprawienie albo przez pogorszenie się losu (zwycięstwo pracy i charakteru albo klęska przez kryzys, pożar, burzę). Niespodzianek, point niema. Ktoś co przyrównał te utwory do nowel Maupassanta, chyba nie wie dobrze, co to jest nowela. One są dalekie od formy nowelistycznej, bo nie silą się na przynoszenie czy wydobywanie „nowości"; chyba że czasem dają anegdoty. O ile już w samym fakcie pisywania i wydawania wogóle utworów nie ujrzymy pretensji, przysługuje rzeczom Burka nazwa bezpretensjonalnych. Są spokojne, zacne, poczciwe. To obraca przeciw nim gniew p. W. Gombrowicza, autora groteskowych nowel *Pamiętnik z okresu dojrzewania*. Gombrowicz, inteligent miejski, wyczuwa u Burka zapewne brak owych komplikacyj, które bywają śladem walki o prawdę. Gombrowicz wyraża to inaczej: w utworach Burka jest za dużo inteligenckości, a za mało inteligencji, są tam znane banały: rola, dola, krzepa, zbożność, hardość i t. p. Może gdyby coś z kompleksu freudowskiego pokazało się na Burkowej wsi, Gombrowicz byłby zadowolony, np. żeby w obrazku *Waluś* macocha wyglądała przybycia młodego pasierba wśród pewnych ciągot erotycznych. Takich rzeczy u Burka na lekarstwo nawet niema. Wszystko jest takie przyzwoite. Pisali to Czepiec z *Wesela*, Boryna z *Chłopów* piórkiem pawiem. Czy to błąd?

Niewątpliwie błąd, o ile uwzględnianie nieporządków erotycznych weźmiemy jako symbol porania się także z innemi nieporządkami, społecznemi, politycznemi, uważanemi dziś za „życie" (t. zn. chaos życia).

Życie w dzisiejszych czasach krytycznych ma o wiele więcej punktów spornych, kłujących, niż dawniej. Wymijanie ich, cofanie się do orjentacyj z czasów Reymonta, byłoby zubożeniem treści. Ale trudno posądzić Burka o taką ignorancję, i raczej należy przypuścić, że rozmyślnie choć niezbyt odważnie chciał ominąć dzisiejszą piłę komunistyczną, któraby mu dała wszędzie łatwe pointy, jakoto: tu winien obszarnik, tu klecha, tu głupota chłopska, a więc brak oświaty, a więc kapitalistyczno-obszarnicza gospodarka budżetem oświecenia, huzia na kapitalizm, bo przecież i kryzys, i „zakucznik" (sekwestrator), i dewaluacja, i wzrost długów na wsi to też kapitalizm. Być może, że Burkowi już ze względów estetycznych nie podobała się taka monotonja ujęć i zakończeń i wolał neutralność. Lub może wśród tego gwaru licytacyj politycznych postanowił być tylko objektywnym, opisywać tylko fakty a stawianie t. zw. kropki nad „i" zostawić czytelnikowi, — przekonany, że taka wstrzemięźliwość autorska jest nawet efektowniejsza.

Zwłaszcza dwa opowiadania stały się bardzo sporne: *Roleński dół* i *Pożegnanie z ziemią*. W pierwszem opisane jest, jak to dzielny chłop Siwy Kaźmirz pogodził się z kiepskim przydziałem komasacyjnym i upartą a przemyślną pracą — której etapy Burek z miłością maluje — z nieużytków Roleńskiego dołu zrobił ziemię uprawną. Bohater, Piast, no ale — indywidualista. Tak samo w drugiem opowiadaniu Marcin Krysa dokazuje cudów waleczności rolniczej na lichym gruncie („na litej zozdze i nałydze"), tak że ludzie dziwują się: carownik un, nie człowiek. Ale przychodzi na niego „znista" (zniszczenie) wskutek burzy zimowej, która pociągnęła za sobą pożar — poraniony w tej klęsce Krysa umiera, do łoża śmierci każe sobie przynieść skibę roli z runią wiosenną i ściska ją w palcach.

Ładna powiastka. Oto jest „krzepa" chłopska, którą wytyka p. Gombrowicz. W *Robotniku* p. Dudziński mówi, że to jest zakończenie sentymentalne. Ale najgorzej dojeżdża autorowi swojak, poeta Antoni Olcha, w miesięczniku literatów ludowych *Nowa Wieś*, wychodzącym w Naprawie, tej Naprawie znanej z powieści J. Kurka. Olcha wyszydza tego rodzaju powiastki Burka jako „kapitalistyczną agitkę". Powiada, że historyjka z Krysą to jest „ta sama co u Reymonta ongiś komedja z chłopem umierającym na łonie „matki-ziemi". Porównywa też ową scenę śmierci z legendą o Czarnieckim, który przed zgonem głaskał grzywę swego wiernego konia. Takie kalendarzowe obrazki, zdaniem Olchy, mogą wzruszyć mieszczańskie ciocie, grubych bankierów albo litościwych „Jezusków" z djabłem za skórą. I dlaczego Burek agituje tak zpańska za pracą? Przecież wie, że chłopom nie brak ochoty do pracy, ale „brak im ziemi, narzędzi, wolności, bo wszystko to zrabowała burżuazja". Konkluduje Olcha, że Burek „zaciąga" czasem na nutę endeckich faszystów, także niektórych sztabowców „ludowcowych" i ma „solidarystyczne zapędy". Ale ostatecznie nie rezygnuje z duszy Burka, jako cennego talentu, wzywa go tylko ostro do poprawy.

Napór krzykaczy na samodzielnego pisarza jest dzisiaj wielki. Chcą go zmylić, sprowokować, jak maski Konrada w *Wyzwoleniu*. Ścieżka neutralności jest coraz gęściej obstrzeliwana. Nawet Skiwski z obozu rządowego wycelował na nią swój kulomiot.

Nie ulega wątpliwości, że ideał np. socjalistyczny może autorowi służyć jako kompas orjentacyjny wśród dużej grupy zjawisk i pomaga do ustawienia ich w pewnej perspektywie, co pod względem artystycznym może być cenne, choć jak rzekliśmy powyżej prowadzi też do monotonji, do tej łatwizny, jaką widzimy np. w powieściach Wasilewskiej. Ale na zjawiska: życie i człowiek, nie składają się tylko fakty socjalne, jest przecież i los, i śmierć, i miłość, i choroba, i smutek, i radość, i cała socjologja, która — jak w ostatnim artykule o Kruczkowskim powiedziałem — musi być ponad socjalizmem.

Olcha, mówiąc o „kalendarzowych obrazkach" Burka, trafia w sedno, ale od drugiej strony. Prawda jest, że Burek, który wogóle ma duży talent stylistyczny, zaczyna nieraz i przeprowadza swoje opowiadania jakby klechdę. Powyżej wspomniane dwie opowieści, dalej *Miłosierdzie Siwego Kaźmirza*, *Waluś* lub początek utworu *Zakucznik hula* przypominają tę formę. Był sobie raz... Kaźmirz i Krysa to jak kto uważa: albo chłopi legendarni jak Waligóra, albo chłopi z wzorków kaligraficznych. Ciekawe jest, że najulubieńszą formą Burka jest alegorja. *Zakucznik* zaczyna się od alegoryzowania różnych bied, i jest o nim tak powiedziane: „Wylągł się z biedy nikiej robak ze ścierwa i chyba wraz z biedą wkiejś zecnie". Przypomina mi się owa klechda o Biedzie, którą jeden brat wpakował do chudej kości i zakołkował, a drugi odetkał. Można też zamiast: klechdy, powiedzieć: gawędy. Burek ma żywe poczucie kontaktu ze swym czytelnikiem. Może dzisiejsza wieś jest istotnie już za chytra na te utwory, może Czuchnowski jej lepiej dogodzi. Ale i Burek ze swoim strajkiem wiejskim przeciw miastu, ze swojem zamiłowaniem do spraw ściśle finansowo-gospodarskich — wcale oryginalna jest u niego ta tematyka — zaspokoi głód aktualności „wsioskiego" czytelnika. Tempo jego opowiadań jest również „wsioskie": nie śpieszy się, nie denerwuje, nie figluje ani się nie wścieka. Poważna, niech będzie: kułacka lekturka.

Z socjalnego punktu widzenia uderza w jego książce jeszcze jedno: opowiada się o pojedyńczych ludziach, mocarzach, biedakach, skąpcach, oryginałach, ale wciąż jest obecna cała wieś jako chór. Sprawy dzieją się na oczach wszystkich i cała wieś je po swojemu komentuje. To się dziwuje, to urąga, to potępia lub chwali, bardzo często niesłusznie i głupio. Ale wszechobecne jest poczucie gromadzkie. Tylko: czemu oni tam, w tym Ocinku, radja nie mają, i co porabia nauczyciel? I czemu nie znają asekuracji od pożaru?

Ale samo to pytanie już świadczy, że Burek stworzył pewną całość; wszyscy mają do niego pretensje o różne luki.

Z języka, jakim jest pisana *Droga przez wieś* miałby Żeromski wielką satysfakcję. Mówi się o Burku: że to chłop sandomierski, który posługuje się tamtejszą gwarą, — ale naprawdę te walory językowe może odpowiednio uruchomić tylko inteligent, mający dar stylistyczny i filologiczny, a ocenić je może tylko miasto. Miejski czytelnik poznaje tu 1) nietylko moc nowych słów o ładnem brzmieniu — jednak przydałby się słowniczek na końcu, ale 2) podziwia też zdolność transformatorską języka, wchłaniającego i przerabiającego wyrazy obce (np. brejtuga, birwanić zam. birbantować), i 3) niespodziewane, w języku miejskim niepraktykowane możliwości słowotwórcze i nowe formy na tle zapasów gotowych np. pastucha zam. pastuch (w mianowniku), plątawica myśli, wijuga myśli, roztłómaczyć (perswadować), wysoczyzna, z podalsza, prośbiane dziadki, złodziejec, djabelec, przepatry, staronek, pomyślunek, przedobiedzie, niedopirdki i dzieciuchy, abo mi to nowała, hulaś (hulaka), w rozprószce, stawianka, opornicy (opozycja), nieusłuchaniec (ten który nie słucha, forma niekonsekwentna[1], powinnoby być: nieusłuchliwiec), maławy, witaczka (śratać się to znaczy żegnać się należy pod 1). Zwracam uwagę *Poradnika Językowego* na te skarby, na ten „mach" (nawał) słów. Natomiast nie pochwalam takich form, które są psuciem języka: brać się za robotę, wałaj zam. wał. Uzasadnieniem ich w książce polskiej tylko autentyczność, folklor.

Skoro już o ciekawostkach mowa, to chcę się w *post scriptum* podzielić z czytelnikiem takiem zdaniem dobrego Antka Olchy, który St. Piaseckiemu (djabelcowi w *Prosto z mostu*) chciałby wydrzeć duszę Burka. Namawiając Burka, aby się poddał uświadomieniu klasowemu, zapowiada, że chłopi razem z robotnikami utworzą „nowy organizm gospodarczo - polityczny, będący prawdziwą fabryką szczęścia i radosnej pracy". Fabryką szczęścia? Coby powiedział Brzozowski na tę metamorfozę eudajmonistyczną, on, który w ideale socjalistycznym widział bramę do prawdziwego życia bohaterskiego? To „zakącie" swego poglądu na świat powinien p. Olcha zrewidować.

KAROL IRZYKOWSKI

[1] Wincenty Burek: *Droga przez wieś*. Warszawa 1935. „Rój". Str. 253.

[1] Taką niekonsekwentną formą jest w naszym języku także termin „manja prześladowcza", który ma oznaczać nie, że ktoś nią dotknięty prześladuje innych, lecz że sam czuje się prześladowanym.

NAUKA I UTOPJA

Książka Znanieckiego[1] stanowi rzadki przykład zespolenia dwóch elementów zasadniczo różnych: ścisłości analiz naukowych z wizją przyszłości, wróżbą, przewidywaniem. Zapewne, niektórzy zechcą w tem widzieć jej słabość, tłumacząc, iż nie znajdzie ona „swojego" czytelnika, ponieważ dla uczonych jest zbyt utopijna, a dla laików zbyt naukowa. Ale z większą słusznością widzieć w tem można jej zaletę: jest przecież coś warta naukowa zdolność dokonywania analiz teraźniejszości, by wypatrzeć przyszłość. Jest w tem urok pociągający i tętni żywotność myślenia. Tem bardziej, że zachowano najdoskonalej równowagę obu elementów i współdziałanie ich nie niweczy odrębności żadnego. Wizja przyszłości ukazywana jest zawsze jako możliwa, nigdy jako konieczna i niewątpliwie pewna, legitymująca się nieubłaganie dokładnością naukowych obserwacyj, odkrywających sens teraźniejszości i kierunek dróg przyszłego rozwoju. Badanie naukowe zaś nie jest nigdy tylko argumentem, nie jest „dorobionem" uzasadnieniem, ma sens swój własny, jest bezinteresowne, dokładne, nieuprzedzone, niemal obojętne na życiowe wyniki, do których prowadzi. Naukowość nie psuje marzeń o przyszłości, obraz cywilizacji, która ma nadejść, nie niszczy dokładności badawczej. To jest dobra harmonja: dzięki niej badanie zyskuje sens orjentacyjny, a wypatrywanie czasów, które idą — znajduje pewniejsze podstawy. Takie zespolenie mogłoby być wzorem również i dla innych nauk humanistycznych, które — wciąż jeszcze pod wpływem przestarzałej koncepcji przyrodoznawstwa — wystrzegają się tak pilnie sądów wartościujących i ujęć celowych, iż zatracają niemal całkowicie wartość własnych badań i ich cel.

Akcentując wartość tego zespolenia, nie można wszakże przyznać obu elementom równej doniosłości. Powiedzmy to odrazu wyraźnie: mimo wyczuwanej tendencji autora, by dzieło swe uczynić raczej wyrazem dążeń, przewidywań i wezwań, wartość jego naczelną widzimy w tem, co wnosi do nauki. Cała część druga książki, analiza ludzi teraźniejszych, jest świetną próbą nowego ujęcia typologji ludzkiej. Znaliśmy liczne usiłowania w tej dziedzinie. Po wyzwoleniu się z więzów dawnej psychologji elementów rozpoczęły się coraz śmielsze próby ujmowania różnic indywidualnych. Powstawały dziesiątki klasyfikacyj. Ich dowolność nikogo nie mogła zaspokoić. Na nowe drogi weszły te badania dzięki analizom konstytucji cielesnej (np. przez Kretzschmera) oraz dzięki ujęciom ze stanowiska wartości kultury, jak to próbował uczynić Spranger. Klasyfikacja Znanieckiego ma inny charakter: jej podstawą jest „osobowość społeczna". Składa się ona z czterech elementów: jaźni odzwierciadlonej, stanu socjalnego, funkcji społecznej i znaczenia życiowego. Jaźń odzwierciadlona to ujmowanie siebie samego na podstawie mniemanych opinij świata o nas; stan socjalny obejmuje stanowisko moralne, ekonomiczne i osobiste wśród ludzi; funkcja społeczna określa objektywne zadania oraz ich znaczenie dla stosunków z ludźmi, a znaczenie życiowe wyczerpuje się w subjektywnej i faktycznej doniosłości naszych poczynań.

Zaczątek klasyfikacji dany jest w tych rozróżnieniach, ponieważ w konkretnej osobowości zaznaczać się może z przeważającą siłą jeden z wymienionych elementów. Są więc typy żyjące niemal całkowicie w zaklętem kole doświadczeń i powściągów jaźni odzwierciadlonej, są typy wykształcone przedewszystkiem przez zapobiegliwą troskę o stan socjalny, są typy wzrastające w pełnieniu funkcji społecznej, oraz są wreszcie typy żądne nadewszystko wzmocnienia znaczenia życiowego. Autor wszakże nie rozwija tej klasyfikacji, przechodząc do innej, opartej na zasadzie genetycznej, a mianowicie na środowisku, w którem jednostki spędziły dzieciństwo i młodość. Środowisk takich wylicza trzy: dom i szkoła, warsztat pracy, krąg rówieśników. Pierwsze zwie środowiskiem wychowawczem, drugie środowiskiem pracy, trzecie zabawy. Z pierwszego wyrastają ludzie dobrze wychowani, z drugiego ludzie pracy, z trzeciego ludzie zabawy. Do żadnej z tych klas nie należą ludzie-zboczeńcy.

Ta klasyfikacja genetyczna ma się pokrywać z poprzednią, systematyczną, ponieważ ludzie, którzy wyrośli w środowisku wychowawczem, rozwijają się według wymagań jaźni odzwierciadlonej, ludzie pracy dbają o stan socjalny i t. d. Ale właśnie dwoistość tego podziału nasuwa pewne wątpliwości. Przekonywająco ujęte zostały tylko dwa pierwsze typy: ludzi dobrze wychowanych i ludzi pracy. Charakterystyki tych typów należą do najświetniejszych kart książki. W pierwszym wypadku mamy doskonałą analizę współczesnej niewydolności pewnych typów inteligencji, w drugim bardzo słuszne przeciwstawienie się przesadnie rozwiniętemu kultowi pracy. Obie te charakterystyki dają nietylko niesłychanie plastyczny obraz typów spotykanych w życiu na każdym kroku, ale zarazem są ważną dla wychowania oceną wartości i braków zarówno „dobrze wychowanego" inteligenta jak i człowieka pracy, proletarjusza lub dorobkiewicza. Zupełnie przekonywające są też genetyczne tłumaczenia tych typów wzrastaniem w odpowiednich środowiskach.

Pozostałe dwa typy: ludzi zabawy i ludzi-zboczeńców już nie wydają się nam tak trafnie ujęte. Rażą nas przedewszystkiem same nazwy, skoro do pierwszych zalicza się zarówno towarzyskich snobów, jak i polityków oraz bojowców, a do drugich zarazem niedorozwiniętych zbrodniarzy i genjuszów. Oczywiście można wysuwać pewne racje socjologiczne, według których i zbrodniarz i genjusz są „zboczeńcami" od normalnego toru życia społecznego. Wszelako zestawienie takie wydaje się nam pozostałością dawnej, naturalistycznej socjologji i psychologji, i wolelibyśmy nie widzieć go, nawet w zmienionej formie, w książce autora, który uczynił tak wiele dla uwolnienia nauki od naturalistycznych przesądów. Podobnie wprawdzie można wykazać analogję między zabawą a grą polityczną lub walką, ale jednak pozostaje pewnem, iż ważniejsze tu są różnice, niż podobieństwa, choćby nawet tak subtelnie uchwycone, jak w krótkiej wzmiance o hitleryzmie (str. 270 — 1). Jeśli zaś typ ludzi zabawy ma polegać na przemożnem

[1] Florjan Znaniecki: *Ludzie teraźniejszości a cywilizacja przyszłości*. Warszawa — Lwów 1935. Książnica-Atlas.

znaczeniu funkcji społecznej, to przecież funkcja ta nie wyczerpuje się wyłącznie w stosunkach między partnerami, ale zawiera również pewne objektywne, rzeczowe zadania do spełnienia, takie, które nie dadzą się sprowadzić do „zabawy“. Podobnie niejasne jest, jakie środowisko rozwijać ma ostatni element osobowości społecznej, t. j. znaczenie życiowe, oraz jaki typ ludzi powstaje z przerostu tego elementu. Wreszcie, o ile kształtująca siła środowisk domu i szkoły oraz zawodu jest niewątpliwa, o tyle można wątpić, czy kręgi zabawowe rówieśników były kiedykolwiek równie wyłącznem i trwałem środowiskiem wzrastania dzieci i młodzieży i czy można im, z taką samą słusznością jak tamtym, przypisać samoistne znaczenie osobotwórcze.

Streszczając: przekonywająco scharakteryzowane wydają się nam typy ludzi dobrze wychowanych i ludzi pracy, wyrastające w środowiskach wychowawczych i zawodowych przez nadmierny rozwój jaźni odzwierciadlonej i troski o stan socjalny; natomiast typy ludzi zabawy i ludzi zboczeńców, przerostu zainteresowania funkcją społeczną i znaczeniem życiowem, oraz pojęcie kręgu zabawy wymagają jeszcze — naszem zdaniem — nowego przemyślenia.

W utopijnej części książki największą wartość posiadają analizy możliwości zastąpienia ekspansji łupieżczej ekspansją produkcyjną oraz uwagi końcowe o potrzebie samodzielnego i twórczego wychowywania młodzieży. Stawiają one — tak zaniedbane dziś — zagadnienie twórczości. Pokazują, iż człowiek jest i może być istotą pochłoniętą szałem twórczym, nie musi być egoistycznie usposobionym rywalem ani chytrym ciułaczem własnego dobytku. W atmosferze twórczości powstaje braterstwo i słabną sztywne ramy dogmatyzmu uprzedzeń. Ta wizja cywilizacji upowszechnionej twórczości jest uroczym ideałem przyszłości, ku której idziemy niejednokrotnie przez zaprzeczenia. Zaprzeczenia te są bardzo silne. Czy zdoła się im oprzeć wychowanie? Czy przezwyciężyć je potrafią ludzie mądrzy a dobrzy? Nie mamy tej pewności. Ale podobno czyny wówczas tylko mają wartość i wówczas są bohaterstwem, gdy nic nie gwarantuje z pewnością powodzenia. Może w tem ryzyku i wierze jest sens naszej chaotycznej epoki.

BOGDAN SUCHODOLSKI

NIETYKALNOŚĆ SNOBIZMU

I.

Artykuł mój p. t. *Rola snobizmu w przeżyciu artystycznem*, ogłoszony w 33 numerze *Pionu*, ściągnął na mnie gwałtowny atak. Recenzent *Nowego Dziennika* uznał mnie za wroga ludu, a p. Borowy za nieuka i demagoga. Jeden z moich przyjaciół powiedział: dobrze wam tak, snobizm jest nietykalny, biada temu, kto podniesie na niego rękę.

Dziennikarz rozumuje w sposób następujący:

Jeśli Chwistek twierdzi, że walka z głodem czyni człowieka szarego zajmującym, to tem samem propaguje głód. A jeśli tak, to huzia na niego! Przecież w takich razach mamy gotowy repertuar frazesów. Tanim kosztem można sobie użyć dowoli.

Oczekiwałem raczej, że ktoś powie: przecież głodzenie się nie uczyniło zajmującą ani Madone de Sleeping, ani Lady Chatterley. Podtrzymuję to zestawienie, bez względu na poziom Dekobry i Lawrence'a, bo nie o autorów mi chodzi, tylko o bohaterki. Ale sprawa ta należy do dyskusji z p. Borowym.

Znany ten i ceniony krytyk rozumuje w sposób następujący: Jeśli Chwistek twierdzi, że człowiek szary jest zajmujący, a elita intelektualna nudna, to depcze kulturę, a jeśli ją depcze, to jej nie zna. Jeśli jej nie zna, to będzie łatwo wyłapać go na grubych błędach. Zobaczymy, jak zabawne gafy zrodziły się z tego błędnego rozumowania.

Istota błędu jest następująca: Co innego jest deptać tradycję artystyczną, a co innego jest patrzeć na nią krytycznie. Pomimo najszczerszych chęci, nie możemy brać serjo mitologji Homera tak, jak nie możemy się wzruszać deklamacjami Fausta na tle jego stosunku do Małgorzaty. Chyba, że ktoś chce mierzyć jedną miarką nadużycia biedaków i cynizm sytych idealistów. Obawiam się, że ideologja taka tkwi na dnie argumentów naszego krytyka. Nie chcę jednak chwytać go za słowa. Nie chcę odpłacać pięknem za nadobne. Ograniczę się do objektywnego wyjaśnienia nieporozumień.

Zaczynam od sprawy uznania Kasprowicza, Przybyszewskiego, Matejki i Grottgera. Nie należeli do sfery szlacheckiej, a przecież nie szczędzono im dowodów uznania. Jakżeż można twierdzić, że w Polsce najwyższe kryterja sztuki i życia były przywilejem szlachty?

Mówiąc o tych ludziach, dotykamy najboleśniejszej rany. Uznanie, jakie zdobyli, zaprawione było goryczą. Życie Kasprowicza i Przybyszewskiego, to klęska chłopa polskiego w walce ze snobami. Wszystko jedno, czy ubiorą go w togę purpurową, czy pozwolą mu zabijać się pracą zarobkową. W żadnym razie nie wolno mu być naprawdę sobą, w imię poszanowania wielkiej tradycji kulturalnej. Może znowu narażę się na zarzut nieuctwa, ale ośmielam się twierdzić, że sprawy te są przedstawione w *Marcholcie* w sposób dość przezroczysty. Życie Matejki także nie było wesołe. Po wielkich triumfach został zlekceważony i odepchnięty, a pozycja jego była i jest pożałowania godna. Grottgera już przed wojną nikt szanujący się nie miał odwagi brać poważnie.

Dlaczego tak jest, to inna sprawa. Nie twierdziłem i nie twierdzę, że pochodzenie jest *przyczyną* dobrego lub złego traktowania. Zwróciłem tylko uwagę na to, że faktycznie elita przedwojenna nie uznawała naogół autorów niskiego pochodzenia. Pogromca mój stara się wyjaśnić, dlaczego tak było w stosunku do klasyków francuskich. Czyni to dość pośpiesznie, przypuszczam więc, że nie zechce bronić zbyt uporczywie swego stanowiska.

W tych warunkach ośmielę się wyznać, że, mojem zdaniem, było tak dlatego, że nie widziano w nich tajemniczej wzniosłości i demonicznej grozy takiej właśnie, jaka była u Byrona i jego następców.

To, że wyżyny sztuki i życia nie były dostępne ludziom niskiego pochodzenia, znajduje potwierdzenie w całej ówczesnej literaturze.

Sprawy te były nierozerwalnie związane z pozą wielkopańską à la Fantazy. Nie miały nic wspólnego z ludźmi nowymi, walczącymi o pozycję. Ludzie ci mogli być czcigodni, mogli być nawet genjalni, ale nie mogli być zajmujący. Nie potrzeba wyciągać Urbanowskiej. Wystarczy Bolesław Prus i klęska Wokulskiego. Zamiast szukać wybiegów, było o wiele prościej wyszukać w literaturze Zachodu Wokulskiego, wyniesionego na poziom Lorda Wottona, albo des Esseintes'a. Tylko właśnie o to idzie, że znaleźć taki przykład jest naprawdę bardzo trudno.

Nie mogę pojąć, w jaki sposób koncept z *Trzęsigruszką* mógł być pojęty jako pretensja do odkryć w dziedzinie szekspirologji. Wprawdzie olbrzymia większość pisarzy bierze zupełnie serjo *Trzęsiwłócznię*, ale przecież istnieje dosyć znane wydawnictwo, zwane Encyklopedją Brytyjską, które wyraźnie stwierdza, że był to wymysł poetów. Z tej samej poczciwej książki można dowiedzieć się, że w r. 1487 Hugh Shakspere z Merton College, Oxford, zmienił nazwisko, gdyż uchodziło za nikczemne (*vile reputatum etc.)*. Autor uważa tę wiadomość za zajmującą, a nawet zabawną. Jeśli się doda, że nazwisko Szekspira pisane było na wiele sposobów, bardzo zasadniczo różnych, to trzeba stwierdzić, że zestawienie z nazwiskiem Mickiewicza było wprowadzeniem w błąd opinji publicznej.

Argument o amerykańskiem pochodzeniu sprawy Bacona nie wytrzymuje krytyki, bo naprzód wszystko było oparte na krytycznych studjach Lorda Penzance, a potem gruby snobizm demokratycznej Ameryki jest przecież powszechnie znany i wyszydzony od dawna. Trzeba było przypomnieć sobie choćby tę zabawną historję o amerykańskiej rodzinie, co to kupiła ducha i doprowadziła go swoją trywialnością do rozpaczy.

Argument Racheli z *Wesela* pozwolę sobie nazwać humorystycznym. Rachela jako symbol uwielbienia duszy żydowskiej, Rachela jako wyżyny sztuki i życia. Naprawdę, irytacja jest złym doradcą. W atmosferze antysemickiego obłędu trudno się dziwić, że ktoś wspomina ze wzruszeniem czasy, kiedy to mówiło się inteligentnemu żydowi: *pan jest żyd, ale porządny człowiek*. Niemniej jednak wolno nam to wszystko razem uważać za kabaret.

Trudniej byłoby mi dać sobie radę z Meirem Ezofowiczem. Rola kulturalna takich kobiet jak Orzeszkowa powinna być omawiana osobno. Nigdy nie słyszałem o Urbanowskiej, ale muszę się z tem liczyć, że należy do tej samej klasy zagadnień. Dodam jeszcze, że wolę naiwne entuzjastki od zimnych pożeraczy książek.

Obawiam się, że odszukanie wtórnych oddźwięków średniowiecza w Żeromskim i Nietzschem jest dla naszych krytyków za trudne. Nie o *Walgierza Udałego* idzie, ani o św. Świerada, ani o św. Wojciecha, ale o *Dumę o hetmanie*, a jeszcze w wyższym stopniu o *Popioły*, chociaż to przecież było tak niedawno. Ani też niema powodu uważać zestawienia Nietzschego z Żeromskim za dziwne, bo nie o prostym, naiwnym kulcie była mowa, tylko o podświadomej tęsknocie i o skrytem uwielbieniu. Nietzsche uważał cesarza Fryderyka II za najgenjalniejszego władcę Niemiec i marzył o „wyrafinowanych skarbach życia Maurów“. Uwielbiał renesans, a więc epokę, w której średniowiecze było jeszcze żywe, choć więdło i zamierało powoli. Trzeba przecież rozumieć, że Cezar Borgia nie był znowu tak zasadniczo różny od Jana XXIII, a autorytety naukowe, które znacznie później potępiły Galileusza, żyły w atmosferze pojęć XIII w. Obawiam się, że naszym krytykom nie są znane te ustępy bardzo popularnych pism Nietzschego, w których tę właśnie atmosferę uważa za korzystniejszą dla rozwoju wolnych duchów, niż to wszystko, co go otacza.

Pozwolę sobie jeszcze dodać, że kult kast i przekonanie, że prawo kast jest naczelnem prawem przyrody, jest synonimem powrotu do średniowiecza, tak bardzo aktualnego za naszych czasów.

Najzabawniejsze jest zestawienie stosunku Platona do matematyki z stosunkiem Słowackiego do prawa, lub Norwida do heraldyki. Należałoby z tego wnosić, że Słowacki uważał prawo za najczcigodniejszą z nauk, a Norwid umieścił na świątyni poezji napis: *Niech nikt nie wchodzi, kto nie zgłębił heraldyki*, a może nawet, jak tego chce jeden z moich przyjaciół: *Niech nie wchodzi nikt nieuherbiony*.

Jeśli inteligentny człowiek popełnia takie gafy, to znaczy to chyba, że ogarnięty jest świętem oburzeniem, tem samem, które tyle klęsk sprowadziło na ludzi. Obawiam się, że najsroższe klęski spadną na moją głowę. Ale dobrze mi tak, trzeba było nie podnosić ręki na majestat snobizmu.

II

Zagadnienie, czy działalność moja jest szkodliwa, czy lepiej cieszyć się z tego, co jest, i bezsilnie zachwalać swój towar zagraniczny, zadawalając się pobłażliwemi uśmiechami, czy też wreszcie powiedzieć całą prawdę i odnaleźć prawo do bycia samym sobą, nie da się załatwić w ramach krótkiej dyskusji. To samo odnosi się do zagadnienia sztuki samouków. Jest to olbrzymie zagadnienie, które wymaga jeszcze bardzo wiele pracy i bardzo wiele intelektualnej odwagi.

W żadnym razie nie wolno załatwiać tych spraw na podstawie przypadkowo przeczytanej książki angielskiej, ani też zapomocą utartego frazesu na temat eksperymentów pedagogicznych bardzo wątpliwej wartości.

Na szczęście polemizuję z myślicielem, który umie uczyć nas przeżyć artystycznych z książek zagranicznych. Pozwolę sobie polecić mu literaturę zagraniczną, która powinna w znacznym stopniu uprościć dyskusję, w myśl zasady, że w Polsce droga przez zagranicę jest najkrótsza.

Wiadomo, że już Lombroso zajął się sztuką samouków, publikując dzieła złoczyńców. Z świetnej książki prof. Szumana o sztuce dziecka dowiadujemy się, że przed niespełna 50 laty rozpoczął badania w tym kierunku Ricci, który zebrał materjał godny uwagi pod względem artystycznym. Prof. Szuman zebrał niezmiernie obfity materjał bibljograficzny sztuki dziecka. Z ciekawej broszurki, napisanej przez p. Reichensternównę można dowiedzieć się, że już w końcu XIX w. słynny psycholog angielski Sully, zauważył, że sposób abstrakcyjny, w jaki dzieci ujmują przedmioty, zgodny jest z charakterem sztuki właściwej. Niemniej hołdując rozpowszechnionemu wówczas poglądowi na popularność rysunku, uważał rysunki dzieci za nieudolne i błędne. Jeśli zważy się, że to samo mówiło się swojego czasu o całej sztuce wschodu, łącznie z sztuką bizantyńską i takimi tytanami jak Cimabue, Botticelli i Fra Angelico, to nie można robić z tego Sullyemu poważnego zarzutu.

Z książki Filipa Francka można się dowiedzieć, że w początkach XX w. zapanowała w Niemczech moda wmawiania w dzieci, że są wielkimi artystami i wymuszania na nich twórczości przystosowanej do potrzeb nauczyciela. Filip Franck potępia tę metodę. Wiadomo, że u nas stosował ją Karol Stryjeński. Muszę wyznać, że rezultaty jego działalności w tym kierunku uważam za ujemne.

Filip Franck zwraca uwagę, że dziecko jest organizmem artystycznym bardzo subtelnym i najdrobniejsza choćby sugestja może je wypaczyć. Dzieciom trzeba pozostawić najzupełniejszą swobodę. Rezultaty tej metody okazały się nadzwyczajne. Nie mam tu na myśli jedynie tego materjału, który publikuje Filip Franck. Materjały jakiemi dziś rozporządzamy są olbrzymie. Wiadomo, że inicjatywa w tej sprawie wyszła u nas od panny Szycówny. Ja również rozporządzam niezmiernie zajmującym materjałem.

Pierwszym bodaj uczonym, który oficjalnie stwierdził, że twórczość dzieci jest nietylko materjałem dla psychologa, ale stanowi osobny rozdział historji sztuki, jest profesor uniwersytetu berlińskiego Oskar Wulff.

Uczony ten jest bardzo ostrożny w wypowiadaniu swoich sądów i nigdy nie posuwa się tak daleko, żeby postawić sztukę dziecka na tym samym poziomie z sztuką artystów dorosłych, ale widać z każdego słowa, że zdaje sobie sprawę z wielkiej powagi zjawisk, z jakiemi ma do czynienia.

Sztuki dziecka nie można oddzielić od sztuki ludów pierwotnych i od sztuki dyletantów. Posiadam w moich zbiorach rysunki wykonywane przez poważnych mężczyzn, którzy nigdy nic ze sztuką nie mieli wspólnego. Jest trudno odróżnić je od rysunków dziecka. Na osobną uwagę zasługuje sztuka obłąkanych. Obok przykrego rozwichrzenia i bolesnego dziwactwa, znajdujemy tam dzieła poważne, bardzo zbliżone do dzieł dzieci i naogół niezwykle piękne i głębokie. W dziedzinie tej jest miarodajna monografja Dra Prinzhorna. Monografja ta zawiera niezmiernie ciekawy materjał rzeczowy, którego przejrzenie musi na każdym człowieku wrażliwym artystycznie wywrzeć wrażenia niezapomniane. Wymienię tylko kompozycję streficzną przedstawiającą w górnej strefie świerki, w środkowej dzieci, a w dolnej tulipany. Sposób kształtowania przypomina łudząco Rousseau celnika, ale jest tam więcej uroku i więcej tajemniczego czaru. Dr Prinzhorn wnosi z tej analogji, że Rousseau musiał być schizofrenikiem. Ta sprawa mniej mnie obchodzi. Natomiast jest dla mnie pewnikiem, że obłąkana artystka stała niewątpliwie na tych samych wyżynach sztuki, co Rousseau. Jeśli ktoś nie lubi kulfonów malowanych przez dorosłych Polaków, to najlepiej zapytać go, co sądzi o Rousseau celniku. Albo będzie miał odwagę powiedzieć, że uważa go za niedołęgę, albo nie. I w jednym i w drugim wypadku zostanie wykończony. W pierwszym wypadku wszyscy prawdziwi artyści pokiwają nad nim głowami z politowaniem, w drugim wypadku będzie musiał pogodzić się z faktem, że dzieci, obłąkani i całe mnóstwo niepowołanych dyletantów wdzierają się bez akademickiego patentu do świątyni sztuki i wdzierają do najbardziej tajemniczych i najbardziej groźnych jej zakątków.

Pisząc o tych sprawach uważam za mój obowiązek zaznaczyć, że pierwszym teoretykiem sztuki, który całkiem stanowczo wystąpił przeciw akademickim studjom, był Stanisław Witkiewicz. W owym czasie był to szczyt odwagi. Dzisiaj jest to narzucająca się konieczność.

Jest rzeczą godną uwagi, że wspomniany wyżej Dr Prinzhorn zrozumiał do głębi fakt, że zasadnicze podejście do sztuki, jakie obserwował u obłąkanych, jest w istocie swojej to samo, co u artystów. Różnica polega tylko na braku konsekwencji w ujmowaniu zjawisk rzeczywistych, to znaczy na nieliczeniu się z konwenansem przyjętym powszechnie. Ale przecież, jeśli gdzie, to w sztuce liczenie się z konwenansem jest nie na miejscu. Dr Prinzhorn wskazuje inne jeszcze różnice, które są jeszcze w wyższym stopniu nieistotne. Z tego co pisze o atmosferze artystycznej obłąkanych wynika jak na dłoni, że są to arystokraci ducha w najczystszem i najwyższem tego słowa znaczeniu.

Czytając odnośne ustępy, doznaje się przykrego uczucia, że jest się skazanym na obracanie się w nudnym wyschniętym klimacie, podczas gdy tam bucha ogień żywego natchnienia i upojenia sztuką. Wcale nie dlatego, że ci ludzie są obłąkani. Nie o to wcale chodzi. Tylko poprostu dlatego, że są bardzo inteligentni i są zajęci naprawdę swojem życiem wewnętrznem i nie muszą liczyć się z opinją oziębłych krytyków i nie muszą schlebiać ograniczonym mecenasom i nie muszą uchodzić za fachowców, ani ubiegać się o odznaczenia i nagrody na konkursach. Jestem pewny, że w zawodowych artystach tkwiły swojego czasu te same możliwości. Zapytajcie ich. Każdy odpowie wam, że zniszczyło je życie. Zniszczył je snobizm. Ten sam, który każe murzynom wieszać w tajemniczej świątyni ogłoszenie Van Houtena. Może być, że im się podoba, ale to jest takie samo podobanie się jak nam angielszczyzna. Naprzód imponuje siła. Potem przychodzi zainteresowanie, potem szacunek, w końcu zachwyt. Tylko o to właśnie chodzi, że ten zachwyt trafia jak kulą w płot. Nie tam gdzie należy, tylko właśnie w najsłabszą stronę. I potem jest z tego tylko kabaret.

Kto miał sposobność poznać życie artystów naszych, ten wie, że co innego jest ich rzemiosło, a co innego ich stosunek do sztuki. Może to sobie być przedstawiciel nowej rzeczowości, którego pejzaże w reprodukcji wyglądają jak fotografje, może to nawet być zawzięty doktryner broniący objektywności sztuki, cały przejęty fakturą i tym podobnemi przesądami naszych czasów. Ale trudno nie znaleźć w myśli takiego, którego dusza nie zadrgałaby na widok dzieł dzieci, któryby nie zajmował się sztuką Nikifora z Krynicy,

lub tego 60-letniego szewca Prachewskiego, co to miał taki sukces na wystawie prymitywów w Warszawie. Wystawy tej nie widziałem, znam ją tylko z reprodukcyj i z recenzji Wallisa. Uważam ją za wielki czyn kulturalny. Świadczy on, że w walce z przesądami i z zacofaniem kulturalnem powstał u nas zwarty front, którego nie przełamią pseudo-naukowe argumenty o wielkości tradycji przedwojennej.

Wielką sztukę tworzył mużyk rosyjski za czasów niewoli w zapadłych wioskach nad Wołgą i nad Dźwiną. Tworzył ją w XV i XVI wieku ukraiński malarz ikonów, a w XVII i w XVIII wieku nasz malarz cechowy, prostoduszny, szary człowiek, na którego elita patrzyła z lekceważeniem. Do niedawna nikt tych rzeczy nie zaliczał do sztuki polskiej, pokrywając ten wielki okres twórczości narodowej popiołem milczenia. Dzisiaj zachwycamy się temi rzeczami i marzymy o tem, żeby zwiedzić kościołek w Dębnie, czy w Nowym Targu. Nie przebrzmiały jeszcze słowa entuzjazmu, które latem słyszałem o malowidłach tamtejszych od p. Wallisa. Przede mną leżą niezwykle zajmujące zdjęcia cudów św. Stanisława Kazimierczyka z Bożego Ciała w Krakowie, wykonane przez p. Miterę. Nagle z pustki i upadku najgorszego okresu naszej historji wydobywa się tajemniczy czar i potęga twórcza, zgnieciona butem zarozumiałych snobów. Jestem pewny, że niema Polaka, którego dusza nie radowałaby się na myśl o tem zjawisku. I niema takiego prawdziwego artysty. Trzeba tylko, żebyśmy umieli dorównać naszym Bogu ducha winnym przodkom. Biedaczyska, naśladowali, jak umieli, teatralne dzieła włoskiego baroku. Nie przyszło im napewno na myśl, że w paręset lat później dzieła ich dawać będą rozkosz oryginalnej twórczości ich potomkom i odświeżenie i upojenie i wypoczynek. Właściwie dyskusje o tych sprawach są zbyteczne. Wszystko jedno, jakiemi drogami idzie sztuka snobistyczna. Sztuka prawdziwa rozwija się i tak, a czy snoby orjentują się w niej, czy nie, to właściwie wszystko jedno.

LEON CHWISTEK

*

JESZCZE (KRÓTKO) O TEM SAMEM

Licytowanie się z p. Chwistkiem na złośliwości byłoby płochą zabawą. Przypomnę tylko o co mi chodziło. P. Chwistek poruszył ważny temat, mianowicie trudu, z jakim pewne nowe wartości artystyczne zdobywają sobie uznanie, i walki, jaką muszą toczyć z rutyną i snobizmem. Otóż twierdziłem, i twierdzę nadal, że ten temat nie został w jego artykule rozjaśniony, raczej uległ zaciemnieniu, a to głównie z powodu fantazyjnych dowolności w traktowaniu historji: raz do niemożliwości upraszczanej, innym razem najosobliwiej gmatwanej. Powiem, że w ostatnim ustępie nowego artykułu p. Chwistka znajduję już pod tym względem pewną dla siebie satysfakcję; skłonny też jestem przypuszczać, że co do poruszonych tam kwestyj doszlibyśmy do porozumienia; chętnie zresztą stosuję się do uprzejmej konkluzji przedmówcy: że „właściwie dyskusje o tych sprawach są zbyteczne“.

W dalszym ciągu natomiast nie wydaje mi się, żeby p. Chwistek trafnie połączył historję opinji artystycznych z historją emancypacji społecznej mieszczaństwa i ludu. Weźmy przytoczony przykład Matejki. Osiągnął sławę — w okresie, kiedy uprzedzenia stanowe były jeszcze dość silne; doczekał się jej zmierzchu — w okresie, kiedy demokratyzacja dość już znacznie postąpiła. Czyż nie jest rzeczą jasną, że mamy tu do czynienia z dwoma różnemi procesami historycznemi, które wprawdzie zachodzą za siebie, ale nie wiążą się tak poprostu, jak to p. Chwistek przedstawia. A teraz życie Kasprowicza i Przybyszewskiego ujęte jako „klęska chłopa polskiego w walce ze snobizmem“! To jest czyste przywidzenie, ale naturalnie dyskutować o tem z p. Chwistkiem nie można, bo zabezpieczył się na dwie strony: snobami przecież w jego przedstawieniu są zarówno ci, co odmawiali artyście pomocy, jak i ci, co starali się mu pomóc. Nie rozumiem jednak na co się może przydać (nawet przy takiem traktowaniu rzeczy) sprowadzanie do jednego mianownika spraw tak zasadniczo różnych jak dzieje twórczości tych dwóch pisarzy. Jeżeli i tu i tam mamy walkę chłopstwa ze snobizmem, to sympatje nasze będą się musiały dzielić. Miło mi jest być chłopem z Kasprowiczem; w wypadku Przybyszewskiego zadeklarowałbym się raczej po stronie „snobów“.

Niektóre żale p. Chwistka są szczególnie dziwne: że np. w literaturze „przedwojennej“ nie da się znaleźć Wokulskiego „wyniesionego na poziom... des Esseintes'a“. Ależ, jako sympatyk Wokulskich, wolam: chwała Bogu, że go nie wciągano na ten „poziom“! Może mu wystarczy poziom np. Carlyle'a? Uwaga p. Chwistka brzmi tak, jakby powodzenie u snobów mimo wszystko uważał za wartościowe. Myślę jednak, że nie to chciał powiedzieć.

P. Chwistek gniewa się, że tyle rzeczy poruszyłem „pośpiesznie“; czegóż to on jednak nie wciągnął do swojego krótkiego artykułu! Proszę zastanowić się bodaj tylko nad jego pojęciem średniowiecza, które w brzuchu swoim mieści i kawał renesansu, i coś takiego, z czem się łączą *Popioły* i *Duma o hetmanie*, i wiele innych rzeczy (tylko zresztą złych, bo dobre zostały *a priori* bardzo starannie wyłączone). Zapewne, przy większych sprawach możnaby niejedną mniejszą puścić mimo uszu; p. Chwistek jednak kładzie czasem silne akcenty i na szczegółach. Ot np. z tym „Trzęsigruszką“, o którym raześmy jeszcze usłyszeli. Mniejsza o samą „gruszkę“ (nawet pomoc Encyklopedji Brytańskiej nie uczyniła z niej konceptu lepszego niż mój z nazwiskiem Mickiewicza); warto wszelako może zatrzymać się na chwilę na owym Hugonie Szekspirze (niewylegitymowanym zresztą jako krewny poety), który w r. 1487 zmienił nazwisko. Musiało ono chyba być powszechnie już rozumiane jako „Trzęsiwłócznia“, skoro miało warjant „Łamiwłócznia“ (ów Hugo jest wymieniony gdzieś jako „Saunder alias Shakespere alias Brakespere“). Czemuż się go Hugo pozbywał? Było źle osławione (*vile reputatum*), t. j. prawdopodobnie sam Hugo, czy ktoś w rodzinie coś przeskrobał, co lepiej było ukryć. Wyobrażać sobie, że to była sprawa przypominająca dzisiejsze zmiany nazwisk (z „Jędorka“ na „Jędorskiego“ i t. p.), jest to błędnie sobie przedstawiać wiek piętnasty. Drobny ale znamienny przykład omyłki w interpretacji historji. Gdy się zaś takich omyłek nagromadzi więcej, historja zaczyna nudzić, i wtedy naturalnie szuka się jakiejś ucieczki: w dzieciach, ludach dzikich, lub schizofrenikach. O to właśnie chodziło, żeby nie popadać tutaj w jednostronności.

WACŁAW BOROWY

WIEŚ W PRZEŻYCIACH PRUSA

„Wokulski skręcił do parku i długi czas przechodził się po lipowej alei, nie myśląc o niczem. Zdawało mu się, że przyjechał tu nasycony, zatruty zgiełkiem Paryża, hałasem Warszawy, dudnieniem kolei żelaznych i że wszystkie te niepokoje, wszystkie boleści, jakie przeżył, w tej chwili parują z niego. Gdyby go zapytano: czem jest wieś? odpowiedziałby, że jest ciszą“.

Tak w *Lalce* określa Prus najistotniejsze przeżycie, które zarówno jego bohaterowi, jak i jemu samemu dawała wieś. Wieś jest ciszą, jest ukojeniem, przynosi równowagę i spokój sercu człowieka i jego nerwom, odradza całą organizację duchową, a przez to daje siłę i zdrową wrażliwość, zdrową odporność na życie.

Sprawia to naturalnie przyroda wsi. Prus, podobnie jak Dygasiński, widzi w niej jedyną siłę, normującą życie i kształcącą, budującą człowieka według odwiecznych prawd, które zawsze wskazują wartościowe ideje, optymistyczne perspektywy, które też zawsze zwyciężają to wszystko, co było poczęte poza naturą. Cywilizacja, która kształtuje się bez łączności ludzi z przyrodą, jest oparta na chwiejnem lub grząskiem podłożu i musi wypaczyć, wykoślawić człowieka, każąc mu wierzyć w to, co jest złudą, walczyć o dobra przemijające, ginąć dla doczesności z pominięciem haseł wiecznych, lub szarpać jego duszę bolesnym kontrastem stwarzanego zła i marzeniem o szczęściu, doskonałości i prawdzie życia. — „Wśród zieleni i spokoju wsi — powiada Prus — rodzaj ludzki pozbywa się kłów i pazurów“, uzyskując albo intuicyjnie, albo uczuciowo, lub wreszcie intelektualnie rzetelny stosunek do życia.

Sam Prus nie mógł też żyć bez kontaktu z wsią i z chwilą zbliżania się lata brzydła mu Warszawa, brzydli ludzie, zaczynała ciążyć codzienna praca dziennikarska — zrywał też z tem wszystkiem i wyjeżdżał. Charakterystyczne jednak, że chwilę wyjazdu opóźniał zwykle do momentu zbliżającej się jesieni: sierpień i wrzesień były miesiącami, które spędzał na wsi. Dwa względy na to się składały: uczuciowy i nerwowy. A więc najpierw uczuciowości Prusa odpowiadała jesień swą tęskną słoneczną melancholją, życiem, które jeszcze w pełni istnieje i dojrzewa, nad którem jednocześnie ciąży smutek zbliżającego się kresu. Prus wprawdzie nie miał smętnej natury Słowackiego, który również żywił kult jesieni, jednak odczuwał głęboko wartość tęsknoty. „Bo widzisz pan i zapamiętaj to sobie, że na świecie wszystko umiera, wyjąwszy — tęsknoty“, — mówi jedna z postaci noweli *Przy księżycu*. Tęsknota odpowiadała przedewszystkiem naturze Prusa, tej zdolności widzenia życia z dwu stron, realnej i mistycznej, konkretnej i nieuchwytnej. Jesień, budząca tęsknotę, rzeczywistość przedstawiała w perspektywach nieskończoności — i stąd bliskość jej dla Prusa. Po drugie zbliżenie do jesieni tłumaczy się i tem, że nerwowa natura Prusa w chwilach odpoczynku poszukiwała głównie wrażeń łagodnych i spokojnych, silniejsze bowiem zjawiska przyrody zbyt silnie nią wstrząsały. Objaw ten u Prusa szczególnie jaskrawo występuje, ze względu na znaną jego chorobę lęku przestrzeni: wszelkie zjawisko nieoczekiwane, gwałtowniejsze w swej dynamice, szybsze w ruchu, rozleglejsze w perspektywie budziło w nim niepokój, rychło przeradzający się w grozę, w paniczny strach. „Będąc na wsi — powiada np. Prus — lubię patrzeć na sunące po ziemi cienie obłoków, kiedy zjeżdżają z zielonego pagórka, mkną po równinie i znowu wpływają na drobne wyniesienia gruntu. Należy to do bardzo ładnych widoków, jeżeli obłoczek jest mały, przezroczysty i sunie po ziemi z prędkością niewiele większą od chodu człowieka. Ale kiedy nadleci chmura, rzucająca cień czarny, który najeżdża na ciebie z szybkością 10 lub 15 metrów na sekundę, jak lokomotywa, wówczas widok staje się przykrym“. Tak jest ze wszystkiem: nic więc dziwnego, że Prus wtedy się tylko dobrze czuje, gdy nie czekają go wrażenia silne, gdy nie stoi wobec wstrząsających zjawisk przyrody, gdy nie boi się niespodzianek; lubi też miejsca spokojne i znane. Tem np. tłumaczy się fakt, że Prus na wywczasy letnie jeździł do jednej i tej samej miejscowości, do Nałęczowa, że musiał się z nim bardzo blisko zżyć i że nie odczuwał potrzeby przebywania coraz to gdzieindziej. Stosunek jego do wsi i jej przyrody, był kontemplacyjny, o całości natury umiał sądzić z drobnych jej cząstek, które często urastały w jego przeżyciu do znaczenia symbolów: tak np. w noweli *Pleśń świata* widzimy, że obserwacja opleśniałego kamienia rzuca Prusowi perspektywy na dzieje całej ludzkości i tajemnicę bytu jej na ziemi.

Rozumie się, że w takich procesach bardzo pomocną Prusowi była fantazja, która ogromnie wzbogacała skalę przeżyć tych codziennych, drobnych i znanych dobrze objawów przyrody. Oto np. sadzawka otoczona wierzbami; są chwile, gdy wierzby te upodabniały się Prusowi do jakichś niesamowitych widziadeł, „rozkraczonych, garbatych, bezgłowych, wieloramiennych, które tylko na widok człowieka kamieniały w potwornych ruchach, udając rzeczy martwe“, w innych zaś momentach ta widmowa groza znika zupełnie i Prus, patrząc na te same wierzby, zachwyca się ich delikatnemi gałązkami, ich liściem drobnym, o zielonym wierzchu i jasnym spodzie.

Fantazja więc dawała Prusowi pewną rekompensatę w tym ograniczonym zakresie przeżyć, który był mu dostępny. A zakres ten można istotnie nazwać ograniczonym. Rzecz bowiem ciekawa, że np. do bardzo rzadkich w twórczości Prusa należą opisy lasów, znacznie częściej występuje ogród i park. W ogrodzie, w parku bowiem, przestrzeniach znanych i dokładnie ograniczonych, Prus czuje się o wiele lepiej niż w lesie; las musiał go napełniać niepokojem i trwogą i przeżywał on w nim niewątpliwie stany, analogiczne do tych, których doznawała panna Izabela z *Lalki*. I ją też las, gdy była w nim sama, przerażał. Głosy ptaków wydawały się jej jakieś dzikie, czasem podobne do nagłego krzyku boleści, a czasem do śmiechu z niej, że weszła między potwory... Każde drzewo wydawało jej się istotą żywą, która chce ją owinąć gałęźmi i udusić; każde ziele w zdradziecki sposób oplątywało jej nogi, ażeby nie wypuścić już jej ze świata, który nie znosi intruzów.

Trzeba tu jednak podkreślić fakt niezmiernie charakterystyczny dla psychiki Prusa. Choć spętany nerwową chorobą agorafobji, musiał bardzo ograniczać skalę swych przeżyć wiejskich, aby znaleźć spokój i ciszę, przecież odczuwał nieprzepartą potrzebę, by choć po razu doznać takich wrażeń, które świadczą o prawdziwej wielkości, potędze i grozie przyrody. Rozumiał on to dobrze, że natura, nawet wówczas, gdy przeraża, jest — jak sam powiada — jeszcze piękną i twórczą. Głęboko wstrząsa ona duszę, ale zarazem odnawia ją i przebudowuje. Prus czuł więc np., że powinien poznać przyrodę Tatr, że dopóki jej nie przeżyje, jego stosunek do życia nie będzie pełny. Pojechał więc do Zakopanego i kazał się za rękę prowadzić po górach przewodnikowi. Opisuje później to, co przeżył: „Wszystko — powiada — com tu wycierpiał, na com patrzył i czegom słuchał z trwogą — to głuche lasy i gadające skały, płaty ziemi, która wydziera się ku niebu i zbiorowiska głazów, większe od wszystkich miast świata, powietrze, które skraca odległości i drobny deszczyk, który roztapia w sobie niezmierne łańcuchy wzniesień, wszystkie te zawrotne widoki i przykre niespodzianki, zlały mi się w jeden obraz tak piękny, że niema chyba skarbów, za które możnaby go odstąpić! Dusza rozszerzyła się... To jest główna cecha natury: nietylko goi rany, które zadała, ale jeszcze wynagradza je szczęściem, jakiegośmy nigdy nie oczekiwali“.

To nieoczekiwane szczęście, które dawała przyroda Prusowi w chwilach nagłych przerażeń i olśnień, związane było głównie ze sferą przeżyć metafizycznych. Potęga i wielkość natury stawały wówczas przed nim jako zjawiska niedające się objąć światem zmysłów człowieka, jako zjawiska, które wskazywały mu intuicyjne wyczucie nieskończoności. Pod ich wpływem Prus, początkowo skłaniający się ku materjalizmowi filozoficznemu, przekształca swą wiarę filozoficzną, korząc się przed światem ducha. Wpływ natury jest tu przemożny i bezapelacyjny: rozum, myśl krytyczna, myśl badawcza musiały uznać to, co wstrząsało całą duszą, co pozostawiało w niej trwałe, niezatarte i wiecznie świeże ślady. Patrząc na pełne zaćmienie słońca, które obserwował w okolicach Mławy, Prus pamięta wprawdzie o istnieniu Renana i Straussa, lecz wszelkie ich dowodzenia bledną, nikną w obliczu straszliwego zjawiska natury; każe Prusowi ono wołać: „Nie prawda, że jest tylko jeden świat; są dwa światy: ten i t a m t e n; ten, który mamy pod nogami jest ziemskim, tamten, do którego trzeba podnosić głowę, jest niebem, może nawet tem, o którem mówi katechizm i biblja“. Po przez przyrodę objawiał się więc Prusowi Bóg.

Wieś w przeżyciach Prusa miała jeszcze jedną ważną rolę: na jej terenie umieścił również swą wiarę społeczną. Długoletnie, wszechstronne i sumienne obserwacje społeczeństwa polskiego nastroiły Prusa bardzo krytycznie do wyższych warstw naszych; lud natomiast, im bliżej i dokładniej go poznawał, urósł w jego poglądach do środowiska, na którem cała przyszłość nasza może i powinna się oprzeć. Lud to pień narodu, zdrowy i krzepki, wszystkimi korzeniami trzymający się mocno ziemi, która przekazuje mu swe bogactwo i swój charakter; jeśli chłopu dać tylko odpowiednie warunki rozwoju, spotężnieje on jeszcze bardziej, pień wypuści nowe pędy i kwiaty cywilizacyjnego życia, których będzie umiał bronić i nie zmarnuje, jak ongiś zmarnowała i zniszczyła podstawy bytu państwowego szlachta, jak za czasów Prusa niszczyła i marnowała ziemię, główną ostoję polskości w okresie niewoli. *Placówka*, w której lekkomyślnemu dziedzicowi przeciwstawiony jest chłop Ślimak, *Lalka*, w której ze wszystkich warstw ocalony w skalpelu krytycznym pozostaje jedynie lud, są dowodem siły programu demokratyczno-ludowego wyznawanego przez Prusa.

Można więc stwierdzić ogólnie, że Prus wsi polskiej zawdzięczał najbardziej istotne, najgłębsze swe przeżycia, które stały się niezniszczalnym dorobkiem jego idei, głównemi hasłami życia i trwałą ostoją w chwilach najcięższych załamań, bólów, cierpień i zawodów życiowych. Gdyby nie ten kapitał uzyskany w łączności z wsią, były momenty, w których fala pesymizmu pogrążyćby mogła autora *Lalki* w otchłań bez dna. Wieś go uratowała: ona w tragicznych zmaganiach Prusa z życiem i społeczeństwem zawsze wskazywała mu niezawodne dobra, dla których warto i trzeba było żyć.

„Wokulski przytulił twarz do ziemi. Zdawało mu się, że z każdą łzą spada mu z serca jakiś ból, jakiś zawód i rozpacz. Wykolejona myśl poczęła układać się do równowagi. Już zdawał sobie sprawę z tego, co robił, i już zrozumiał, że w chwili nieszczęścia, kiedy go wszystko zdradziło, jeszcze pozostała mu wierną — ziemia, prosty człowiek i Bóg...“ Te ideały też przyświecały Prusowi w całej twórczości.

ZYGMUNT SZWEYKOWSKI

POSZANOWANIE PRAWA

Już dziatwie szkolnej, która z biegiem czasu ma stworzyć nowe pokolenie obywateli państwa, wpaja się od zarania młodości poszanowanie prawa.

Dziś poszanowanie prawa jest wielkie, bowiem wychowanie młodzieży idzie zdecydowanie w tym właśnie kierunku. Istnieją jednak drobne zjawiska życiowe, które w zasadniczy sposób podważają to poczucie u przeciętnego obywatela, a w szczególności wśród młodzieży przyzwyczajonej do myślenia stuprocentowemi kategorjami i skorej do wysnuwania kategorycznych wniosków.

Szalone zdziwienie i niesmak musi budzić w nas publiczne i prawie powszechne omijanie praw wydanych legalnie, które chcielibyśmy honorować narówni z prawami gwarantującemi nam całe nowoczesne dziedziny egzystencji. My, ludzie dorośli, jesteśmy jednak bardziej wyrozumiali i nasze poszanowanie prawa nie zostanie podważone tak łatwo, ale co ma powiedzieć młodzież szkolna, której przed chwilą wpajano poczucie i bezwzględne poszanowanie prawa, a która widzi, że na każdym rogu ulicy prawo to zostaje omijane tak przez podejrzane indywidua sprzedające nieostemplowane zapalniczki, jak i przez ludzi napozór kulturalnych i posiadających wysokie poczucie prawa jeśli chodzi o ich interesy, którzy kupując te zapalniczki w równym stopniu omijają prawo, podważając podstawy nowoczesnego życia.

Już czas, żeby społeczeństwo nasze stanęło na tym poziomie kulturalnym, na którym nic nie może zachmurzać i jasnego poczucia prawa i poszanowania go, co stanowi zasadniczą platformę współżycia. *s. k.*

SZTUKA I ANTENA

W SPRAWIE MUZYKI W RADJO

W swym artykule zatytułowanym: „Wymyśliliście psa, wymyślcie kaganiec“ (*Pion* Nr. 40) J. E. Skiwski ubolewa nad profanacją wielkiej muzyki w radjo przez rozpraszanie jej dźwięków na pola i łąki i na niepowołanych słuchaczy, między innemi, w opisywanym przezeń wypadku, na słuchające, albo lepiej — słyszące mimowoli — Beethovenowskiego *Coriolana* krowy. Radjo według Skiwskiego każe słuchać dobrej muzyki byle jak, byle gdzie i byle komu. Dzięki nieproszonemu zasięgowi swych audycyj stwarza przymus wysłuchiwania znakomitych utworów bez należytego skupienia, wulgaryzuje ich piękno, zamienia dzieła sztuki w natrętną obsesję muzyczną masowo pochłanianą i mechanicznie przyswajaną.

Nawiasem tylko zaznaczę, że w salach koncertowych bywają też i ludzie mało lepiej przygotowani i mało bardziej godni słuchania Beethovena niż owe nieszczęsne krowy. Że najbardziej boskie dźwięki rozlegają się i bez radja często w niepowołanych środowiskach. I że sala koncertowa nie każdemu daje najlepsze warunki skupienia artystycznego, które, przeciwnie, osiągnąć można słuchając radja w domu, właśnie najbardziej indywidualnie a nie masowo. Są to jednak rzeczy, należące do sfery odczuć irracjonalnych, żadnej reguły ustanowić tutaj nie można. Dla jednego to będzie pożądańsze, dla innego tamto. W każdym razie radjo zwiększa możliwości uwzględnienia różnych potrzeb i upodobań w dziedzinie słuchania muzyki — i to jest dobre. Ale idzie o co innego. O to, że częściowo słuszne zastrzeżenia szanownego autora w jego ujęciu tematu mogą wywołać osobliwe nieporozumienia. Bo czyż organizatorzy muzycznych programów radja, znajdujących się i tak na groźnej dla spraw kultury pochyłości, nie wyprowadzą z artykułu Skiwskiego następujących wniosków: Muzykę wielką dajemy *à contre coeur*, a przynajmniej wbrew życzeniu większości słuchaczy. Nie przysparza ona też abonentów. Jeżeli, jak się okazuje, nieliczni miłośnicy prawdziwej muzyki przeciwko niej właśnie protestują, uważając jej nadawanie za profanację, to i chwała Bogu, możemy jej wcale nie dawać.

Skiwski martwi się, że gdzieś w polskim dworze rozlegały się dźwięki *Coriolana*, nie pasujące do wiejskich nastrojów. A mnie się zdaje, że ten osobliwy dwór należałoby podciągnąć pod dekrety oddłużeniowe, ogłosić go jako zasłużony kulturze. Bo żart żartem, ale większość, nie to że dworów koniecznie, ale wogóle domów t. zw. inteligenckich w mieście czy na wsi zamyka ze świętym pośpiechem odbiorniki, gdy tylko zacznie w nich brzmieć zamiast hałasu instrumentów „mordującego ciszę“ coś podobnego do prawdziwej muzyki.

Zgadzam się zupełnie ze Skiwskim, że wynalazłszy radjo, trzeba wynaleźć i tłumik, nie pozwalający się przedostawać audycjom poza miejsce, w którem chcą być słuchane. Ale niechby ten fantastyczny narazie „kaganiec“ funkcjonował jedynie dla złej muzyki i dla audycyj mówionych, których niechciane słuchanie jest w istocie torturą nie do zniesienia. Dobra wielka muzyka niechby się natomiast rozlegała bez przeszkody, niechby była słuchana bodaj niechcący, i oby stawała się (co jednak nie grozi ze względu na jej rzadkość w programach) nawet przedmiotem obsesji na miejsce obsesji nędznych jazzbandowych przebojów.

Nie, nie o ten rodzaj profanacji winniśmy mieć żal do radja, a co do mnie, wyznaję, że mam go zaiste niemało. I korzystając ze sposobności tej przyjaznej polemiki, mam chęć wreszcie go raz wypowiedzieć. Jest to żal zupełnego laika, nie znającego się fachowo na muzyce, ale rozmiłowanego w niej bez granic, i żal przyjaciela, kogoś, kto radjo ceni i wiele mu zawdzięcza, ale też i wiele od niego wymaga.

Otóż nie będzie dla żadnego kulturalnego człowieka rewelacją jeśli powiem, że radjo idzie w swych programach muzycznych po linji najniższych gustów publiczności. Pomijam już fakt, że t. zw. muzykę poważną toleruje się tylko jako ustępstwo na rzecz pozorów przyzwoitości, że racją bytu i treścią muzycznych programów radja jest „muzyka lekka“ i że w ciągu dnia jest do usłyszenia kilkadziesiąt preparatów takiej muzyki, a tylko parę utworów muzyki — powiedzmy na razie — innej. Ale i w tym, smutnym pomimo swej „taneczności“, stanie rzeczy możnaby przynajmniej dążyć do osiągnięcia nieco wyższego poziomu. Ciężkim grzechem radja jest, że zarówno muzyka „lekka“ jak muzyka „poważna“, którą nam daje, to w przytłaczającej większości muzyka zła, nudna, dziesięciorzędna. To istne zjełczałe farsze, zepsute winegretki, a nawet wręcz padlina muzyczna. W najlepszym razie — banał, poczciwe wypociny, lub ambitne „wydymanie się próżni“. Jeśli to ma być zaspakajanie potocznych gustów, to radjo ma jeszcze gorsze wyobrażenie o swej publiczności, niż ona na to zasługuje. Nawet publiczność, lubiąca tylko „lekką“ muzykę, zdaje się wykazywać więcej smaku niż programy radjowe. Aby się o tem przekonać, dość posłuchać płyt gramofonowych, rozlegających się z prywatnych domów na wsi, w miejskiem podwórzu, na letnisku. Te płyty są, jak należy przypuszczać, wybierane także i z nagrań popularyzowanych przez radjo. Otóż usłyszymy na nich z reguły najładniejsze tanga, najbardziej wdzięczne sentymentalne lub żartobliwo-liryczne piosenki ludowe i kabaretowe. Nigdy — ani potwornych „revellersów“, ani śmiejącego się policjanta czy kota na klawiszach, ani żadnego innego z tych brzydactw, które można czasem słyszeć w radjo dwa razy w ciągu jednego dnia, od których dostaje się gęsiej skórki i chce się wyć jak pies...

Tej mojej stosunkowo korzystnej opinji o guście radjosłuchaczy zdaje się przeczyć charakter i poziom „życzeń“ muzycznych zwracanych do radja. Wysłuchałam kiedyś „koncertu życzeń“ i włosy zjeżyły mi się na głowie. Ale któż zmusza kierownictwo radja do patyczkowania się z życzeniami obskurnemi i prostackiemi? Co zezwala speakerom na te zawstydzające filuterne krygi wobec jakiejś pani Loli czy Beli przy zapowiadaniu spełnienia ich prawdziwie nieobyczajnych z punktu widzenia muzyki życzeń?

Że radjo potrafi zignorować życzenia swych słuchaczy, o tem przekonałam się sama na sobie. Miałam bowiem „śmiałość“ napisać kiedyś do radja z prośbą o wykonanie lub nadanie z płyt niektórych utworów Beethovena, Chopina i Czajkowskiego. Utwory te usłyszałam potem w ciągu roku czy dwu raz lub dwa razy, gdyż należą do żelaznego repertuaru arcydzieł muzyki, których w żaden sposób całkiem pomijać nie można. Ale mój list i moja doraźna prośba nie zostały uwzględnione w najmniejszym stopniu, choćby dla zachęcenia innych. Być może odpowiedziano mi coś w skrzynce pocztowej, lecz tych rzeczy z powodu krótkości życia ludzkiego nie słucham; szukałam odpowiedzi w programach muzycznych. To ignorowanie życzeń godziwych i kulturalnych, a faworyzowanie ordynarnych zakrawa już na kult i hodowanie złego smaku w muzyce. A radjo powinno przecież także i wychowywać. Suggeruje się dzisiaj masom wiele tak osobliwych, tak dzikich poprostu rzeczy — dla zasuggerowania upodobań do prawdziwej muzyki nic prawie nie udaje się zrobić. Przecie ludzi obdarzonych czarem i talentem pedagogicznym prof. Rutkowskiego znalazłoby się chyba jeszcze paru na świecie. Naiwne listy, pisane do niego z zapytaniami o najprostsze zasady muzyki, wskazują, że nawet śród zupełnych profanów istnieje w szerokich warstwach, żywiący szlachetne ambicje, materjał na pilnych słuchaczy dobrej muzyki. Dobrej muzyki — także i w dziedzinie, objętej przez radjo nazwą „lekka“. Każdy wie, że w repertuarze tanecznym i piosenkowym istnieje sporo małych arcydzieł humoru i liryzmu. Każdy wie, że tanga i kujawiaki, pieśni ludowe wszystkich narodów, piosenki innego charakteru hiszpańskie, rosyjskie, francuskie są po większej sżęści jeśli nie przepiękne, to conajmniej warte posłuchania. Gdybyż zdarzały się w radjo dnie muzyczne złożone z takich właśnie utworów!

Nie wiem do jakiego rodzaju zalicza radjo t. zw. „muzykę salonową“, czy to jest „poważne“ czy „lekkie“, czy ma stanowić przejście od jednego do drugiego. Ale wiem, że to jest z rzadkiemi wyjątkami najgorsza chyba pozycja muzyczna radja. Te wszystkie szepty kwiatów, śpiewy ptaków, szmery wiosenne, puchy śnieżne, święta gór, kaskady, tańce lalek, poczty w lesie — to koszmar.

W dodatku, jeśli w muzyce „lekkiej“ czy „salonowej“ zdarzy się coś wartościowego, to z reguły umieszcza się ten utwór w środku, albo na końcu audycji. Ponieważ niepodobna wyliczyć ile minut będzie trwał każdy poszczególny numer, ktoś chcący usłyszeć zapowiedziany „drobiazg“ Schumanna, Schuberta, Mozarta, Bacha lub Chopina, zmuszony jest męczyć się i tracić czas, słuchając wszelkiej, poprzedzającej go tandety. Często zdarza się, że artystyczny utwór, pomieszczony przy końcu audycji, odpada, bo właśnie gwałt jest na transmisję matchu piłki nożnej albo zawodów hippicznych. Wyczekujący cierpliwie słuchacz zostaje w ten sposób jakgdyby nagle okradziony. Jest w tem wielka niedelikatność zarówno wobec słuchaczy jak wobec pamięci wielkich muzyków. A możnaby tego uniknąć, kładąc utwory piękne na początku audycyj i skracając w razie potrzeby dany program kosztem numerów malowartościowych.

W dziedzinie muzyki symfonicznej i kameralnej również, jak to dałam do zrozumienia na początku, gorszą rzeczą niż jej mała dawka jest jej dobór. Już w pierwszym numerze tegorocznej *Anteny* przeraziła mnie pompatyczna zapowiedź, że nikły procent muzyki „poważnej“ w bieżącym roku poświęcony będzie głównie i w pierwszym rzędzie muzyce polskiej. Autarkja w dziedzinie sztuki to groźne dla kultury zjawisko. Nie uwłaczam, broń Boże, muzyce polskiej, rozumiem konieczność jej popierania i pobudzania do twórczości. Ale stawianie zasady narodowościowej czy państwowej jako kryterjum pierwszeństwa w sztuce prowadzić musi na beznadziejne manowce artystyczne. Przyjęcie tej zasady jest jednym z powodów, że „poważne“ programy radja zieją tak często nudą, nie mogącą nikogo zachęcić do rozwijania w sobie upodobań muzycznych.

N i e p o w e t o w a n ą s z k o d ą d l a m i ł o ś n i k ó w m u z y k i j e s t z e r w a n i e k o n t a k t u r a d j a z F i l h a r m o n j ą W a r s z a w s k ą. Nie wiem czy to zerwanie ma przynieść jakieś korzyści Filharmonji. Jeśli tak jest, ubolewam, że nie znalazł się ktoś, ktoby był potrafił pogodzić jej interesy z interesami radjosłuchaczy. O ile na tem zerwaniu zyskała ta lub inna instytucja — straciła niewątpliwie cała Polska.

Programom i wykonaniom filharmonicznym dałoby się zapewne też niejedno zarzucić. Ale w każdym razie była to dla radjosłuchaczy jedyna pewna sposobność usłyszenia prawie co tydzień, czasem dwa razy na tydzień conajmniej jednego wielkiego utworu symfonicznego w wykonaniu jako tako skompletowanej orkiestry i znakomitych zarówno solistów jak dyrygentów. Nadto — jedyna prawie sposobność usłyszenia tych rzeczy w dobrym, czystym odbiorze. Bo nie wiem czy to jest właściwość wszystkich studjów radjowych, czy tylko naszych, ale choć studja te są budowane specjalnie tak, żeby pełnię dźwięku otrzymywał mikrofon, to odbiór z Filharmonji był zawsze nieskończenie czystszy, pełniejszy, wyraźniejszy niż, nie mówiąc o płytach, bezpośredni nawet odbiór ze studja. Tego najlepszego, choć też ma się rozumieć niedoskonałego, odbioru napewno dziesiątki tysięcy słuchaczy zostało dziś pozbawionych. Zostali go pozbawieni w Warszawie ludzie chorzy, ci którzy nie mogą stale chodzić do Filharmonji, bo są za biedni i ci którzy z jakichbądź powodów nie zdążyli lub nie zdołali kupić biletu na koncerty specjalnie atrakcyjne. Została go jednak przedewszystkiem pozbawiona cała prowincja polska, gdzie słuchanie Filharmonji zaczęło wchodzić w obyczaje. Z tych wielu tysięcy zawiedzionych słuchaczy w najpomyślniejszym wypadku paruset zacznie z powrotem chodzić stale do Filharmonji. Nie jest to zdobycz równoważąca ogromną stratę kulturalną. Zwłaszcza że żaden radjosłuchacz, zaliczający się do prawdziwych miłośników muzyki i tak nie wyrzekał się nigdy sal koncertowych. Zawsze od czasu do czasu musiał w Konserwatorjum czy Filharmonji przesłuchać swoje ulubione utwory, aby potem w radjo wspomnienie bezpośredniego ich doznania dopełniało i korygowało braki mikrofonicznego odbioru, dającego wzamian rozkosz słuchania w samotności lub w gronie najbliższych, jednakowo reagujących osób.

Radjo usiłuje zastąpić skasowane transmisje z Filharmonji koncertami symfonicznemi własnemi lub z prowincji. Pierwsze próby tego rodzaju wypadły bardzo żałośnie. Są to przeważnie audycje transmitowane z Katowic, Poznania, Torunia. Pomijając solistów i nienajciekawsze programy, żadna z tych orkiestr prowincjonalnych (nie ujmuje im to zasługi i znaczenia) nie umywa się do warszawskiej orkiestry symfonicznej, też przecie nie idealnej. Co więcej, nie wiem dlaczego, transmisje z tych właśnie miast są zwykle i już oddawna bardzo złe pod względem technicznym, przerywane i zniekształcone.

Te moje żale nie znaczą, aby w radjo nic dobrego się na niwie muzyki nie działo. Ale wszystko, co dobre, pozbawione jest znamion stałości i pewności, cech wysiłku stwarzającego tradycję. Żadne też coraz to nowe pomysły w dziedzinie popularyzowania muzyki — nie pomogą, dopóki Radjo będzie lekceważyć sprawę selekcji utworów i autorów. Nie można przecież natrętnie karmić słuchaczy wszystkimi muzykami, jacy kreślili czy kreślą nuty na papierze.

W literaturze, zwanej piękną, istnieje mnóstwo książek i literatów, ale istnieje stosunkowo mało dzieł i pisarzy, z którymi obcowanie należy do dobrych obyczajów kulturalnych.

Z muzyką nie jest chyba inaczej [1].

MARJA DĄBROWSKA

[1] Co do niektórych punktów artykułu znakomitej autorki *Nocy i dni* redakcja *Sztuki i Anteny* ma zapatrywania odmienne. W sprawach tych w następnym naszym dodatku zabierze głos jeden z fachowców muzyczno-radjowych.

SZANIAWSKI PRZED MIKROFONEM



Jerzy Szaniawski

Jesteśmy świadkami doniosłego zdarzenia: ingresu wybitnych piór autentycznej literatury do radja. Przed paru tygodniami nadano po raz pierwszy specjalne słuchowisko Zofji Nałkowskiej *Noce Teresy*. Pisarz tej rangi co Karol Irzykowski nie zawahał się o niem napisać recenzji, jak się pisze zwyczajowo sprawozdania z książek, z premjer teatralnych. 7 listopada utworem p. t. *Zegarek* zadebiutuje Jerzy Szaniawski.

Irzykowski poświęcił *Nocom Teresy* dość cierpkie uwagi. Nieraz trzeba będzie mu odebrać monopol i samemu pozrzędzić.

Choćby się krytykę pierwszego wystąpienia Nałkowskiej uznało za słuszną, nie traci znaczenia fakt, że właśnie ona dała się pociągnąć do tej próby. Nie jest bez wymowy i to, że sekunduje jej pisarz tego typu co Szaniawski: pisarz tak dojrzały, bezkompromisowy, powściągliwy. I tak — kameralny.

Zdawałoby się to, bodaj narazie, potwierdzać „logistów“, nie „mechanistów“, żeby naprędce zaproponować te barbarzyńskie terminy. Na zebraniach, które zapoczątkował wydział Literacki Polskiego Radja, książka Hulewicza: *Teatr Wyobraźni* i w przedłużeniu, jakie te inicjatywy zyskały na łamach prasy i w dyskusjach dalszych — zaznaczyły się dwa poglądy przeciwstawne. Oba stoją na tem samem stanowisku, że radjo jest objawieniem słyszalności, jak film był objawieniem widzialności. Tylko jeden z tych poglądów widzi przyszłość w dziedzinie eksperymentu formalnego, czysto dźwiękowego, mechanicznego. Drugi właśnie w słowie uwolnionem od wszystkiego, co niem nie jest, w słowie — mówiąc nieco patetycznie, ale istotnie — uogólnionem, zintegralizowanem do rozmiarów wszechświata, w czystym logosie upatruje niespodzianość i cudowność wynalazku.

Opowiedziałem się po tej stronie i teraz, trochę nielojalnie, wygrywam Szaniawskiego przeciw przewódcy „mechanistów" Antoniemu Bohdziewiczowi. Byłbym skłonny w tym pisarzu upatrywać idealną, bliską ideału możliwość radjofoniczną. Sztuka Szaniawskiego jest przedewszystkiem sztuką słowa i treści, perspektywy pozasłownej. Irzykowski mówił kiedyś o jego „kryształowej lakoniczności". Rzeczywiście słowo Szaniawskiego jest widne i perspektywiczne, ma wyjątkową siłę sugestji. Ta właściwość może wzrastać proporcjonalnie do tego, im bardziej będzie ono autonomiczne, wyzwolone od innych elementów. Ściszone, intymne słowo Szaniawskiego, powierzane w zawstydzeniu, w ostatecznym przymusie i w głębokiem poczuciu ufności — może zabrzmieć w membranie mikrofonu pełnodźwięcznością spowiedzi.

Może się też brak, niedosyt, jakiego się doznawało niekiedy w teatrze Szaniawskiego, okazać walorem wzmagającym doznanie estetyczne. Autor *Mostu* i *Fortepianu* nie ma wyższego poczucia konfliktu. Jego dyskrecja jest tak przeczulona, że raczej napomyka o nich, niż je prowokuje. Te napomknienia mogą w nowej przestrzeni rezonansowej nabrać siły przenikliwej i uderzającej wyrazistości.

Może, może. Tak możnaby dłużej, ale to jest nietaktyczne. Wolę, zamiast stawiać horoskopy pisarzowi, mówić o jego utworze. Znam zapowiedziane słuchowisko z egzemplarza, już chciałem powiedzieć: teatralnego, a należy powiedzieć: radjowego. Pociągające jest budzić niemą partyturę, uprzedzać życie znaku, który nie obiegł jeszcze żywą krwią.

Uderzyła mię w tym drobnym „dramacie radjowym" nuta Prusowskiego autentyzmu. Coś z Prusa jest odrazu w tytule, w motywie konstrukcyjnym utworu.

Zegarek — *Kamizelka*... Pospolity przedmiot jest sprawdzianem postawy człowieka wobec człowieka. Stanowi fatalność stosunków ludzkich i — wyzwolenie prawdziwego człowieczeństwa, możliwość wielkości. Bo próbujemy się w świecie i sprawdzamy poprzez wszystko, właśnie przez nic tak jak przez pospolitość, przez niemotę przedmiotów, które nas znoszą cierpliwie, ale o naszej podłości i o naszem przezwyciężeniu mówią głośniej, niż cokolwiek innego.

W opowieści Szaniawskiego zegarek, który znikł nagle, tajemniczo i fatalnie z jubilerskiej gablotki, tak sprawdza słabość czyjegoś serca i moc drugiego serca. Lekkomyślność pani szefowej złamała życie młodego terminatora, jego prosta ofiara wsparła do przetrzymania życia potrzebne złudzenie starego szefa.

Bohater tego dramatu, uczeń zegarmistrzowski w firmie Arten, Jan Tomczyk, jest „szarym człowiekiem", jego sprawa jest uboga i nizinna. Niema w nim i w tem co robi nic z gestu pięknoduchów i wojowników idei, jacy prowadzą sprawy w dramatach Szaniawskiego. Jest może ubogim krewnym Adwokata, hodowcy róż. Ale i on potwierdza idealizm autora, lecz nie marzycielski, tylko życiowy, organiczny.

Niema w tym utworze alegoryzowania, z którego robił kiedyś zarzut Kołaczkowski. Pierwszy raz przebieg dramatyczny nie jest odskocznią do symboliki, ale dzieje się i zostaje w określonym odcinku rzeczywistości. Pierwszy raz autor oddziaływa bezpośrednią akcją, a nie sugestjami.

A przecież za szarzyzną zdarzenia otwiera się wylot perspektywiczny, otchłań dziwności. W szarym zwyczajnym człowieku, w zwyczajnem słowie rozbłyska światło: prawda, że istnieje równy musowi małości, równie nieodparty mus wielkości.

TYMON TERLECKI

EX LIBRIS

Wracam do tematu, o którym pisałem na tem miejscu dziewięć miesięcy temu (w nr. 6 *Pionu* z r. b.). Informowałem wówczas o ukazaniu się pierwszego tomu zbiorowego wydania *Pism* B o l e s ł a w a P r u s a, podjętego przez firmę Gebethnera i Wolffa pod protektoratem Polskiej Akademji Literatury, a pod redakcją profesorów Ignacego Chrzanowskiego i Zygmunta Szweykowskiego. Ukazanie się pierwszego tomu tego wydawnictwa nazwałem najdonioślejszem zdarzeniem w naszem życiu literackiem — i starałem się wyjaśnić pokrótce, co to jest wydanie krytyczne jakiegoś pisarza i dlaczego takie wydanie dzieł Prusa oraz innych pisarzy z okresu pozytywizmu, a następnie z okresu Młodej Polski, należy do najważniejszych postulatów naszej kultury. Dzisiaj chcę opowiedzieć o tem, jak się rozwija rozpoczęte wówczas wydawnictwo i co nam dotąd przyniosło.

Mamy już obecnie przed sobą dwanaście tomów z zapowiedzianego kompletu dwudziestu sześciu. Tempo wydawania tych tomów pozwala przypuszczać, że całość — zgodnie z zapowiedziami prospektu — będzie ukończona w połowie roku przyszłego.

Po tomie pierwszym (*To i owo*), który zawierał najwcześniejsze szkice humorystyczne, ukazał się — jako tom trzeci serji — zbiór opowiadań pod tytułem *Drobiazgi*. Są to również utwory wczesnej daty, drukowane po raz pierwszy jako feljetony w *Kurjerze Warszawskim* w latach 1874—1887 oraz w tygodnikach *Kolce* i *Biesiada Literacka*, a w wydaniu książkowem wydane w r. 1891. Wydanie było zniekształcone przez cenzurę rosyjską, która poczyniła w niem skróty i zmusiła nawet do przekształceń rzeczowych; pozatem przy nowych przedrukach (tak samo jak w wielu innych razach) poczyniono tu mnóstwo dowolnych zmian przez samych wydawców. Prawie jednocześnie z edycją warszawską ukazał się jednak ten zbiór w edycji krakowskiej, wolnej od zmian cenzuralnych i innych zniekształceń. Na tej to edycji krakowskiej opiera się wydanie obecne. *Drobiazgi* to jeszcze feljetony dziennikarskie, poruszające różne aktualności ówczesne w formie lekko zbeletryzowanej i w ujęciu najczęściej humorystycznem. Oprócz takich utworów jak *Kłopoty redaktora* czy *Na Saskiej Kępie*, są tu już jednak obrazki w rodzaju *Wigilji*, w których po raz pierwszy ujawnia się wyraźnie uczuciowość Prusa. Całkowicie od humorystyki feljetonowej do skończonej już formy nowelistycznej przechodzimy z tomem czwartym, który przynosi *Pierwsze Opowiadania*, wydane po raz pierwszy w r. 1881. Jest tu znakomita humoreska p. t. *Przygoda Stasia*, ale są też nowele o głębokim podkładzie społecznym, jak *Antek*, *Michałko* lub *Powracająca fala*. Zamyka tom *Sieroca dola*, utwór najsilniej przeniknięty wpływem Dickensa, wzruszający obraz nieszczęśliwego dzieciństwa, malowany w stylu romantyczno-sentymentalnym.

Następny tom (w kolejności serji dziesiąty) wypełnia *Placówka*, pierwsza na większą skalę polska powieść ludowa. *Placówka* powinnaby w tym roku obchodzić jubileusz półwiekowego istnienia: drukowana była bowiem po raz pierwszy (w tygodniku *Wędrowiec*) w r. 1885, czyli równo pięćdziesiąt lat temu. Nie zestarzała się do dzisiaj. Czytana nawet bez specjalnego nastawienia retrospektywno-historycznego wywiera wrażenie głębokie i żywe, jakkolwiek warunki polityczne i społeczne, z których wyrosła i które świetnie odtwarza, uległy — chwała Bogu! — gruntownym zmianom. Ale ten obraz prostego człowieka, nie wyidealizowanego pod żadnym względem, wiernego wielkiej idei dzięki tylko irracjonalnemu instynktowi biologicznemu, działa do dziś swoim rzeczywistym patosem. W losach Ślimaka jest coś z biblijnego Hioba: ta sama wiara i wytrwanie pomimo ostatecznej klęski — i podobna w końcu nagroda. Temat ludowy w literaturze naszej przeszedł od czasów *Placówki* wiele różnorodnych ewolucyj, poprzez Reymonta do Jalu Kurka i Leona Kruczkowskiego, ale pierwsze wybitne opracowanie tego tematu zachowało do dziś swoją wartość nietylko historyczną.

Następnie, jako tomy 18, 19 i 20 omawianej edycji, ukazał się *Faraon*. Nowe wydanie tej znakomitej powieści jest z wielu względów istotną nowością. Przedewszystkiem przynosi ono po raz pierwszy autentyczny we wszystkich szczegółach tekst utworu. Zachował się mianowicie w znacznej części autograf *Faraona*. Prof. Szweykowski porównał ten autograf z pierwszem wydaniem z r. 1891 i z dwoma przedrukami, dokonanemi za życia autora, i stwierdził, że wszędzie — poza drobnemi poprawkami, które mogą pochodzić od autora, — było mnóstwo zmian, wprowadzonych przez zawodowego poprawiacza językowego, zniekształcających najniepotrzebniej właściwości stylistyczne Prusa. Zniekształcenia te zostały teraz usunięte. Ale to nie wszystko. W wydaniu obecnem jest jeszcze nowość całkowita, mianowicie zupełnie dotąd nieznany Epilog powieści, znajdujący się we wspomnianym autografie, nie drukowany jednak w żadnem z wydań dotychczasowych. Jakie były tego przyczyny, trudno dzisiaj ustalić, gdyż ani w materjale rękopiśmiennym ani w pamięci nielicznych ludzi, którzy mieli do czynienia z temi sprawami i do dziś żyją, nie zachowały się żadne wskazówki czy wspomnienia. Można się tylko domyślać, że miało to jakiś związek z cenzurą. O tem, żeby autor sam nie chciał dawać epilogu ze względów kompozycyjnych, czy ideologicznych, nie może być bodaj mowy, gdyż zarówno stan autografu, w którym ten tekst idzie bezpośrednio po dotychczasowem zakończeniu i nie jest przekreślony, jak i treść epilogu, stanowczo temu przeczą. Treść jest właśnie doskonałem kompozycyjnie i filozoficznie głębokiem zamknięciem całej konstrukcji. Mamy tu rozmowę dwóch kapłanów: kochającego biedny lud Pentuera i uczonego astronoma Menesa. Pentuer po klęsce młodego faraona wraca zniechęcony do świątyni za Memfisem, gdzie Menes w ciszy i zapomnieniu prowadzi wielkie prace naukowe. Dwaj kapłani, patrząc z wysokości pylonu swej świątyni na otaczający ich rozległy świat, rozważają tragedię szlachetnego zapaleńca na tronie i wyciągają z niej wnioski na temat ostatecznych przeznaczeń życia ludzkiego. Pentuer powiada, że ma duszę chorą, ponieważ czuje pewność, że gdyby nie opuścił Ramzesa, to ten najszlachetniejszy z faraonów żyłby dotąd i uszczęśliwiał swój lud. Menes uważa jednak, że Ramzes musiał zginąć. A oto pierwszy powód: „Przedewszystkiem był on faraonem wojennym, a dzisiejszy Egipt brzydzi się wojownikami. Woli złotą branzoletę aniżeli miecz, choćby stalowy; woli dobrego śpiewaka lub tancerza, aniżeli niestrudzonego żołnierza; woli zysk i mądrość, niż wojnę". Bardzo być może, że te słowa nie podobały się pacyfistycznie wówczas nastrojonemu cenzorowi rosyjskiemu. Może uważał również za niebezpieczne dalsze słowa Menesa, który na zapytanie Pentuera, czy Egipt teraz musi zginąć, odpowiada: „Bynajmniej; jak po nocy następuje dzień, a po niskich wodach przybór Nilu, tak po okresach upadków przychodzą czasy rozkwitu życia. Odwieczna historja! Z niektórych drzew opadają liście w miesiącu Mehir, lecz poto tylko, aby na nowo wyrosnąć w miesiącu Pachono". — Cały epilog zajmuje dziewięć stron tekstu i jest ciekawem i ważnem uzupełnieniem Prusowego arcydzieła.

Wreszcie, jako tomy 11, 12 i 13 edycji, wyszła *Lalka* — w nowym kształcie. *Lalka* jest znana i zarazem nieznana. Powieść ta ma zapalonych i wiernych wielbicieli, którzy ją czytają od wielu lat przynajmniej raz na rok; są też tacy, którzy ją umieją prawie na pamięć, którzy mogą wskazać stronicę każdej sceny, każdego epizodu, każdego dowcipu czy sławnego powiedzenia. Ale napewno będzie to stronica z dwutomowego wydania jubileuszowego z r. 1897. I tu właśnie dochodzimy do najcenniejszej wartości nowego wydania: mianowicie do prawdziwego tekstu *Lalki*. Może się to wydać dziwnem, ale prawdziwy tekst, pełny i nieskażony, tego arcydzieła nie był dotychczas znany. Jak zaznaczyłem, najpopularniejszym, przez wszystkich czytanym tekstem *Lalki* było t. zw. wydanie jubileuszowe w dwóch tomach. Niestety wydanie to w bardzo licznych szczegółach różni się od tekstu napisanego przez Prusa.

Historja tekstu *Lalki* przedstawia się — podług umieszczonych na końcu III tomu przypisów edytorskich Z. Szweykowskiego — w sposób następujący: Po raz pierwszy rzecz była drukowana w *Kurjerze Codziennym* w latach 1887 do 1889. W wydaniu książkowem wyszła w roku 1890 jako powieść trzytomowa. W roku 1897 ukazało się wydanie dwutomowe, nazwane jubileuszowem. Pomiędzy wydaniem pierwszem a drugiem niema większych różnic, poza nieznacznemi poprawkami stylistycznemi, niewiadomego zresztą pochodzenia. Natomiast duże różnice wykazuje porównanie tekstu pierwodruku w *Kurjerze Codziennym* z obydwoma wydaniami książkowemi. Różnice te nie wynikają tylko z poprawek autora, który zmienił tytuły kilku rodziałów i powiekszył ich liczbę, oraz tu i ówdzie wygładził tekst, to i owo skreślił lub zmienił; różnice te wyszły od c e n z o r a, który z wydania książkowego usunął cały szereg ustępów, nie budzących jego wątpliwości, gdy *Lalkę* drukował *Kurjer Codzienny*. Są to bardzo znamienne szczegóły, dotyczące udziału bohaterów powieści w powstaniach listonadowem i styczniowem, pobytu Wokulskiego na Syberji, mniemanej łączności Wokulskiego i Mraczewskiego z nihilistami rosyjskimi, i kilka innych. Takich skreślonych ustępów — różnej wielkości, od jednego wyrazu do kilku czasem stronic — jest około trzydziestu. Część tych skreśleń wprowadzono do tekstu *Lalki* po raz pierwszy do mało używanego wydania z r. 1925, które wyszło jako dodatek dla prenumeratorów *Tygodnika Illustrowanego*. Wszystkie skreślenia przywrócono dopiero w wydaniu, które teraz omawiam. Słusznie więc można powiedzieć, że prawdziwy tekst powieści nie był dotychczas znany nawet największym jej wielbicielom. A chodzi tu o braki bardzo poważne: były bowiem w znanej nam *Lalce* miejsca zagadkowe i tajemnicze. Weźmy dla przykładu rozdział X z II-go tomu. Wokulski wrócił z Paryża do Warszawy. Widzi, że jest przedmiotem ogólnego zainteresowania: „Mnóstwo osób kłaniało mu się; czasem zupełnie obcy wskazywali na niego, gdy przechodził; byli jednakże i tacy, którzy z widoczną niechęcią odwracali od niego głowę. Między nimi zauważył dwu znajomych, co go dotknęło w przykry sposób. — Cóż ci znowu — szepnął — dostali bzika?" — Jest to miejsce zupełnie niezrozumiałe. Dlaczego zauważenie dwóch znajomych miałoby dotknąć Wokulskiego w przykry sposób? Wyjaśni się to dopiero wtedy, gdy poznamy tekst autentyczny. Prus, mianowicie, napisał: „zauważył dwu znajomych jeszcze z Irkucka", ale cenzor skreślił słowa: „jeszcze z Irkucka" — i scena nabrała charakteru tajemniczości. Tak samo zaraz dalej w tymże rozdziale: Wokulski jedzie koleją do pani prezesowej; jest noc „duża, bezksiężycowa i bezobłoczna, a na niebie więcej gwiazd niż zwykle. Wokulski otworzył okno i przyglądał się konstelacjom. — Czy dziś umiałbym astronomję, ja, subjekt Hopfera, gdybym *tam* nie był? — pomyślał z goryczą". Żadne rozważanie dotychczasowego tekstu nie wyjaśni, co znaczy owo „tam" w myślach Wokulskiego. Ale bo też po słowach „przypatrywał się konstelacjom" Prus napisał zdanie następujące: „Przyszły mu na myśl syberyjskie noce, gdzie niebo bywa niekiedy prawie czarne, zasiane gwiazdami jak śnieżycą, gdzie Mała Niedźwiedzica krąży prawie nad głową, a Herkules, kwadrat Pegaza, Bliźnięta świecą niżej niż u nas nad horyzontem". Zdanie to zostało skreślone przez cenzora. Odmienne, pogłębiające i uwyraźniające oświetlenie rzuca na postać Wokulskiego ustęp w rozdziale VIII pod tytułem „Medytacje" w tomie I-szym. Wokulski rozmyśla o swojej młodości: o tem, jak zabijał się nocną pracą w restauracji, przygotowując się jednocześnie do uniwersytetu, a kiedy się tam dostał, jak go prześladowano „porcjami", które niedawno podawał gościom. W tem miejscu opuszczono dalsze rozmyślania Wokulskiego, które Prus tak sformułował: „Odetchnął dopiero na Syberji. Tam mógł pracować, tam zdobył uznanie i przyjaźń, Czerskich, Czekanowskich, Dybowskich. Wrócił do kraju prawie uczonym, lecz gdy w tym kierunku szukał zajęcia, zakrzyczano go i odesłano do handlu... To taki piękny kawałek chleba, w tak ciężkich czasach!" Potem Wokulski przypomina sobie, jak po raz pierwszy zobaczył pannę Izabelę, siedzącą w loży teatralnej z ojcem i panną Florentyną. Po słowach: „zdawało mu się, że już kiedyś ją widział i że ją dobrze zna" cenzor skreślił zdanie następujące: „Wpatrzył się lepiej w jej rozmarzone oczy i nie wiadomo skąd przypomniał sobie niezmienny spokój syberyjskich pustyń, gdzie bywa niekiedy tak cicho, że prawie słychać szelest duchów, wracających ku zachodowi".

Podobnych skreśleń, tylko czasem obejmujących ustępy po parę stronic, naliczył prof. Szweykowski około trzydziestu. Ale skreślenia te nie wyczerpują wszystkich zniekształceń, których dokonała w *Lalce* cenzura: bywało jeszcze inaczej: usuwano Prusowi całe sceny, które musiał zastępować innemi. Tak np. rozdział V tomu II-go, pod tytułem „Pierwsze ostrzeżenie" początkowo zaczynał się od sceny, którą Prus musiał całkowicie przerobić. Pierwotnie scena ta zawierała rozmowę Wokulskiego z kupcem moskiewskim Suzinem. Pomiędzy innemi Suzin mówi o pewnych doświadczeniach moskiewskich Wokulskiego, o których pozatem głucho w powieści:

„— A ty wiesz — ciągnął — co mnie przed wyjazdem mówiła Marja Sierglejewna o swojej córce?... Ot — mówiła — głupia Luboczka! wciąż tęskni i tęskni za tym podlecem Wokulskim. Ja jej tłumaczę: ty i nie my I o panu Wokulskim. Pan Wokulskij siedzi sobie w Warszawie i gra na fortepiano: Jeszcze Polska nie zginęła!... a o takiej głupiej dziewczynie i nie pomyśli... A Luboczka nic, jak kamień... — I jeszcze mówi Marja Siergiejewna: Czort mnie do ich parszywej Polski, niechaj ona i nie zginęła, ale mnie dziecka żal"...

Sceny tej, liczącej cztery stronice, znanej już od r. 1912 (z przedruku Wł. Korotyńskiego w *Kurjerze Warszawskim*), nie udało się obecnie włączyć do tekstu, gdyż Prus w scenie zastępczej wprowadził kilka nowych szczegółów, które później odgrywają pewną rolę w toku powieści. To też wydawca musiał umieścić ową scenę jako dodatek na końcu III-go tomu.

Autograf *Lalki* zachował się tylko w jednej trzeciej mniej więcej, mianowicie od rozdziału IX tomu II-go do końca powieści, jednakże i w tym obrębie brakuje miejscami po kilka kartek. Dochowana część autografu świadczy o tem, że skreślenia cenzuralne były robione już w pierwodruku, to znaczy w *Kurjerze Codziennym*. Są one tego samego typu, co skreślenia w wydaniu książkowem: a więc informacje o pobycie Wokulskiego na Syberji, tęsknoty Rzeckiego do odwiedzenia pól bitewnych na Węgrzech i t. d. Wszystkie te skreślenia zostały po raz pierwszy wprowadzone do tekstu w edycji prof. Szweykowskiego. Wydawca ponadto wyzyskał jeszcze autograf pod dwoma względami: po pierwsze dzięki rękopisowi mógł przywrócić sporo drobnych, jednozdaniowych lub jednowyrazowych opuszczeń, wynikających z niedopatrzenia korektora lub zecera, a po drugie mógł ustalić charakterystyczne cechy języka Prusa w okresie pisania *Lalki* i usunąć z tekstu poprawki poczynione przez niepowołane ręce purystów redakcyjnych. Słowem, jak powiedziałem, dopiero teraz otrzymujemy autentyczny tekst arcydzieła Prusowego; teraz dopiero możemy przeczytać *Lalkę* w takim kształcie, w jakim ją napisał autor.

Po *Lalce* ukazały się jeszcze dwa nowe tomy: *Szkice i obrazki*, tom I-szy (całość *Szkiców i obrazków* obejmie cztery tomy) oraz *Opowiadania wieczorne*, zawierające siedem nowel, pisanych w latach od r. 1875 do r. 1892, pomiędzy innemi rzeczy tak pamiętne jak *Pałac i rudera* lub *Z legend dawnego Egiptu*. Wogóle w nowem wydaniu Prusa ukazało się już tomów dwanaście; całość, obliczona na 26 tomów, będzie ukończona w lipcu roku przyszłego.

LEON PIWIŃSKI

SOCJOLOGJA

JAN ST. BYSTROŃ: *Człowiek i książka*. Z 12 ilustracjami, Warszawa 1935, Towarzystwo Wydawnicze „Rój".

Prof. J. St. Bystroń ma w swym bogatym dorobku pisarskim także dwie książki podróżnicze: *Wspomnienia syryjskie* i *Algier, kraj i ludzie*. Fakt ten nie jest bez znaczenia dla tego, kto chciałby podjąć trud oceny twórczości znakomitego etnografa i socjologa. Wydaje się nawet, że okoliczność ta stanowić może dogodny punkt wyjścia dla uchwycenia rysów najbardziej znamiennych prac prof. Bystronia.

Ogromna żywotność, niezwykły rozmach i ekspansywność, podbój nowych zagadnień, stąpanie mocnym i pewnym krokiem po terenach dziewiczych, nietkniętych przez „ostrożnego" przyczynkarza—to cechy, które Bystroń-podróżnik dzieli z Bystroniem-uczonym. Wszystkie niemal prace prof. Bystronia owiane są duchem pionierstwa, karczowania borów niedostępnych,—rzucania syntez śmiałych i dalekich!

Bystroń nie jest cyzelatorem, szlifierzem drobnych szkiełek. To zostawia innym, którym zabrakłoby tchu przy Bystroniowym pędzie.

Bujna witalność Bystronia przejawia się również i w jego optymiźmie. Znajdziemy go także w niedawno wydanej pracy: *Człowiek i książka*. Książka ta, która jest nowem zupełnie opracowaniem wydanej przed 20 laty rozprawy, stawia sobie przedewszystkiem zadania informacyjne wobec szerszych warstw. Świadczą o tem rozdziały IV i V: *Organizacja bibljografji* i *Organizacja bibljoteczna*, a także te partje książki, które zaznajamiają czytelnika z „kuchnią" naukową, techniką i organizacją pracy naukowej. Względy informacyjne tłumaczą, dlaczego autor, posługując się często szerokiemi perspektywami historycznemi, stworzył obraz, mówiący głównie o postępie i zdobyczach współczesności. Światła, rozsiane hojną dłonią, przytłumiły niemal w zupełności—cienie. A jest ich niewątpliwie sporo. Rośnie produkcja książek—objaw sam w sobie radosny. Ale i tu—odwrotna strona medalu: zwiększa się też porcja dzieł, które niczego nowego nie wnoszą, wzmaga się grafomanja zarówno na terenie naukowym, jak i w literaturze t. zw. pięknej, rośnie trud pracownika naukowego, który musi się przedrzeć przez zwały—nieraz zbędnej—„literatury przedmiotu" i t. d. i t. d. Nie mówiąc już o pornografji czy paszkwilach, z łatwością możnaby wydatnie powiększyć rejestr minusów tak wspaniałego—napozór—stanu współczesnego produkcji książek.

Optymizm jednakże, bijący z kart dzieła prof. Bystronia, usprawiedliwia i to, że autor główny nacisk położył na kwestje techniczne, związane z wydawaniem książek (np. rozdział o normalizacji druków).

Stąd też budzi się obawa, że może niejeden czytelnik wyrobi sobie nieco jednostronny obraz o pracy naukowej na podstawie książki prof. Bystronia. Autor doskonale uwypuklił znaczenie zbierania i systematyzacji materjałów naukowych. Niewątpliwie w wielu naukach, jak etnografja, historja i t. d.—jest to niezmiernie doniosły etap pracy. Ale nie we wszystkich dyscyplinach. W takich naukach jak matematyka, fizyka, biologja czy logika—zbieranie materjałów ma znaczenie niemal równe zeru, ustępując miejsca przedewszystkiem twórczości.

Kwestje te jednak wykraczają właściwie poza temat książki prof. Bystronia. Zapewne zawsze znajdą się tacy, którzy woleliby w niej znaleźć raczej „to" niż „tamto". Niemniej trzeba przyznać, że to, co dał autor, ujął w formie konsekwentnej i trafnej: w szczególności wskazanie zasadniczych rysów współczesnej produkcji książek, jakoteż korzystania z nich. Wiele też będzie się mógł nauczyć samouk, choćby z wskazówek, jak usystematyzować pracę w zbieraniu materjałów naukowych. Autor podaje tu rezultaty swego tak bogatego doświadczenia.

Krzepiące są słowa autora, gdy wskazuje na rosnące uświadomienie znaczenia racjonalnej organizacji pracy, rozwój współpracy, kontakt—coraz żywszy—nauki z życiem: „Wyrównuje się teorja z życiem; zaciera się różnica między człowiekiem czynu i teorji: teorja stała się bardziej konkretna i praktyczna, praktyka oparła się o podstawy teoretyczne".

Książka odpowiednia spełnia zatem w tym łańcuchu swe zadanie: kształci umysł i charakter jednostek, a przez to ulepsza i poprawia warunki życiowe. Do takich książek wypadnie, oczywista, zaliczyć i omawiane dzieło prof. Bystronia.

AL. S.

WYDAWNICTWA PERJODYCZNE

Przegląd Socjologiczny. Kwartalnik Polskiego Instytutu Socjologicznego, wydawany z udziałem seminarjów i zakładów socjologicznych wyższych uczelni w Polsce, z zasiłku Funduszu Kultury Narodowej. Tom III. 1935. Poznań — Warszawa. Skład Główny w Księgarni Św. Wojciecha. Str. 814.

Nowy tom *Przeglądu Socjologicznego* imponuje nietylko swojemi rozmiarami, lecz również naukowym poziomem i rozmaitością treści. Na 814 stronicach daje 19 rozpraw (686 stronic) i 125 stronic recenzyj.

Grupując rozprawy według pokrewieństwa tematów, wymieniam najpierw dwie rozprawy, poświęcone zagadnieniom socjologicznym literatury. Jedna prof. J. St. Bystronia omawia „Czynniki rasowe w życiu literackiem", druga prof. St. Czarnowskiego—„Warunki społeczne zmiany znaczenia symbolów literackich". Praca Bystronia jest próbą metodycznego postawienia zagadnienia wpływu czynników rasowych na twórczość literacką. Na podstawie przedstawienia wpływu zróżnicowania rasowego Anglji, Polski, Ameryki, Japonji i Murzynów na twórczość literacką w tych społeczeństwach, autor stwierdza, że czynnik rasowy odgrywa w twórczości literackiej istotną rolę i że badanie wpływu tego czynnika jest zagadnieniem naukowem.

W inną zupełnie sferę zagadnień socjologji literatury przenosi nas rozprawka Czarnowskiego. Rozważania swoje, oparte na obfitym materjale zamknął autor w 5 tez: (1) „W rozwoju jednej kultury symbole literackie zmieniają swoje znaczenie—względnie zatracają wartość symboliczną—w zależności od zmiany warunków społecznych w czasie". (2) „Symbol literacki zmienia znaczenie, a przynajmniej znaczenia tego odcień, ilekroć przechodzi od jednej grupy do grupy innej w obrębie tej samej kultury". (3) „Granicą, w której obrębie symbol literacki zachowuje znaczenie niezmienione, jest granica grupy, względnie kultury, zarówno w czasie jak w przestrzeni". (4) „Symbole literackie nowe, lub stare o zmienionem znaczeniu, wzmacniają odrębność grupy elitarnej, spełniając funkcję środka wywyższenia się ponad grupy inne, a tem samem uzasadniającego panowanie, względnie elitarność w określonym zakresie". (5) „Jedną z funkcyj społecznych symbolu literackiego jest wzmacnianie więzi łączącej członków grupy, przez nadanie wartościom charakteru konkretnego i uczynienie ich w ten sposób zdolnemi do obiegania w granicach grupy".

Przedmiotem obszernej rozprawy prof. Ludwika Krzywickiego o „Nazwach plemiennych", opartej na materjale ludów pierwotnych Ameryki Północnej, Australji oraz ludów słowiańskich, jest pochodzenie nazw plemiennych i ich funkcja społeczna w stosunkach międzyplemiennych.

Studjum prof. Florjana Znanieckiego „Teorje sobkostwa i towarzyskości" poddaje krytyce tradycyjne teorje pierwotnego sobkostwa i pierwotnej towarzyskości i przeprowadza rewizję antynomji egoizmu i altruizmu.

Dwa studja doc. J. Chałasińskiego „Antagonizm polsko-niemiecki w osadzie fabrycznej „Kopalnia" na górnym Śląsku", oraz „Parafja i szkoła parafjalna wśród emigracji polskiej w Ameryce" są monografjami socjologicznemi. Pierwsze daje opis stosunków polsko-niemieckich w osadzie o 3.300 mieszkańcach, drugie dotyczy dzielnicy polskiej w południowem Chicago. Obydwa studja oparte są na materjale zgromadzonym w czasie specjalnych badań, przeprowadzonych przez autora w tych miejscowościach.

Z dwóch prac Stanisława Rychlińskiego „Rozpad sąsiedztwa w mieście amerykańskiem", oraz „Socjologja miasta", pierwsza przedstawia zanikanie życia sąsiedzkiego w miastach amerykańskich, druga kreśli problematykę badań nad miastem.

Zagadnieniami metodologicznemi zajmują się: Maks Weinreich „Studjum o młodzieży żydowskiej: program i metoda" i Edward Arnekker: „O kontrolowanej obserwacji porównawczej jako metodzie badania struktury i właściwości zespołów społecznych".

Tomu dopełniają ponadto rozprawy: X. W. Adamskiego „Pogląd na grupy społeczne i ich klasyfikację", Pawła Rybickiego „Z podstawowych zagadnień grupy społecznej" i „System socjologji ogólnej von Wiese'go", W. Stoka (Wiedeń) „Tajemnica, kłamstwo i nieporozumienie", G. Ichheisera „Machiawelizm jako zjawisko społeczne", N. Assorodobraj „Zagadnienie siły roboczej w zaraniu industrjalizmu", A. Bromsen (New York) „Wpływ amerykańskiej szkoły publicznej na nieprzystosowanie chłopca włoskiego do życia", J. Szczepański „Przejście z rodziny do szkoły w życiorysach młodzieży" i W. Okiński „Przodownictwo samokształceniowe".

W bogatym dziale recenzyj omówiono 51 książek z literatury socjologicznej polskiej, angielskiej, amerykańskiej, francuskiej i niemieckiej, traktujących o zagadnieniach z metodologji socjologji, z teorji grupy, z socjologji wsi, miasta, wychowania, przestępstwa i przestępcy, religji propagandy i t. p.

Bogactwo i rozmaitość treści III tomu *Przeglądu Socjologicznego* uniemożliwia pobieżne choćby zapoznanie czytelnika z treścią w krótkiej recenzji. Z tomem tym *Przegląd Socjologiczny* wysunął się na czoło czasopism socjologicznych świata.

STANISŁAW KOWALIK

Poznań.

PRZEGLĄD PRASY

WICI WIELKOPOLSKIE. — Regjonalizm nie ma szczęścia w Polsce. Podczas gdy zagranicą, szczególnie we Francji, rozwinął się on bardzo, w Polsce wszelkie próby zainicjowania silniejszego ruchu regjonalnego utykają na mieliźnie. Mamy indywidualnych przedstawicieli regjonalizmu — Orkan, Tetmajer i inni — nie mamy *ruchu regjonalnego*. Po wojnie robiono kilka prób: grupa Zegadłowicza, w ostatnim czasie poeci Lublina, wreszcie usiłowania regjonalistów wielkopolskich. Błędne pojmowanie regjonalizmu jako opisywania regjonu doprowadzało w krótkim czasie do jałowości artystycznej. W wyniku tych wysiłków zyskała literatura polska bardzo mało — kilkadziesiąt utworów, opisujących wygląd regjonu, ewentualnie rozwijających wątki historyczne z faktów dziejowych, które się stały na terenie regjonu. Jeśli z tej liczby utworów naogół dość błahych odliczyć zastraszający procent, przypadający na zdecydowaną grafomanję (np. żeby tylko jeden wymowny przykład przytoczyć: sonety Helsztyńskiego o Wielkopolsce), otrzymamy wynik bardzo mały. *Wici Wielkopolskie* niestety nie są wyrazem poprawy. Pismo nie wykazuje, żeby postulaty istotnego regjonalizmu były przez nie zrozumiane i właściwie interpretowane. Pozatem zasadnicza wada: pismo nie może się zdecydować na utrzymanie określonego poziomu prac w niem drukowanych. *Wici* drukują — zdaje się — wszystko, co napisze wielkopolanin, albo, co dotyczy Wielkopolski. Stąd nieprawdopodobnie nieraz niski poziom artykułów i wierszy w niem drukowanych. Drugą b. istotną wadą *Wici* jest to, że nie chcą czy też nie mogą zrezygnować z artykułów, któreby raczej ze względu na swoją treść historyczną powinny się znaleźć w pismach typu *Kroniki m. Poznania* niż w miesięczniku „poświęconym sztuce i kulturze". Przedewszystkiem jednak, jak już wyżej była mowa, należałoby o wiele głębiej wniknąć w problematykę regjonalizmu. Dotychczas *Wici* pojmują regjonalizm bardzo prymitywnie.

JĘZYK POLSKI W SZKOŁACH ŻYDOWSKICH. — W nr. 10 *Naszej Opinji* dr. Althauer zajmuje się zagadnieniem nauki języka polskiego w szkołach żydowskich. Dr. Althauer domaga się reformy metody nauczania, gdyż materjał uczniowski jest w szkole żydowskiej inny niż w szkole polskiej. Język polski dla ucznia żydowskiego nie jest językiem ojczystym ani też obcym — jest językiem o charakterze pośrednim. Stąd powinny wynikać pewne modyfikacje metody nauczania, w pewnych zaś wypadkach wręcz odrzucenie pewnych metod (np. cichego czytania). Pozatem domaga się dr. Althauer także zamiany lektury i czytanek dla szkół żydowskich, gdyż obecne albo są nieraz niezrozumiałe dla ucznia żydowskiego, albo nawet drażnią jego uczucia religijne i narodowe.

WYWIADY I PLEBISCYT. — *Kuźnia Młodych*, interesująco i inteligentnie redagowane pismo młodzieży, przynosi w nr. 13 dwa wywiady literackie — z Zygmuntem Bartkiewiczem i Kazimierzem Wierzyńskim. Bartkiewicz wypowiada się bardzo pesymistycznie o współczesnej literaturze polskiej, przypominając tem stosunek Świętochowskiego do współczesności. („Dzisiejszym literatom brak wrodzonej kultury,... są to niekiedy ludzie o dużym talencie, a małem wykształceniu i tem zacieśniają swój horyzont myślowy, dlatego tak łatwo się manierują"). Wierzyński w wywiadzie swoim odpiera zdanie, że „Skamandryci" się skończyli („W porównaniu z pisarzami np. francuskimi, którzy są właśnie w pełni sil twórczych, jesteśmy jeszcze młodzi, nie powiedzieliśmy swego ostatniego słowa"). Poeta zarzuca współczesnej poezji formalistykę słowną, *Wiadomościom Lit.* zaś brak dna, jakiejś podstawy ideowej — również brak rzetelnej krytyki teatralnej. O sprawie Brzozowskiego mówi: „Przecież to straszne, ażebyśmy, spotkawszy się tutaj, nie mogli otwarcie powiedzieć: czy był szpiegiem, czy też niewinnym, który padł ofiarą nieludzkiej wprost intrygi". Pozatem w numerze wynik plebiscytu na 10 najpiękniejszych książek polskich. Plebiscyt młodzieży dał następujący wynik: w grupie pierwszej — *Quo vadis?*, *Chłopi*, *Trylogja*, *Ludzie bezdomni*, *Faraon*, *Lalka*, *Wesele*, *Popioły*, *Krzyżacy*, *Nad Niemnem*, w grupie drugiej: *Przedwiośnie*, *Noce i dnie*, *Miasto mojej matki*, *Wyrąbany chodnik*, *Wiatr od morza*, *Bezgrzeszne lata*, *Przylądek Dobrej Nadziei*, *Szkoła Orląt*, *Grypa szaleje w Naprawie*, *Złota wolność*. Z plebiscytu tego można wyciągnąć ciekawe wnioski dla charakterystyki upodabań i zainteresowań współczesnej młodzieży. Zastanawiający jest całkowity brak liryki i dramatu (z wyjątkiem *Wesela* Wyspiańskiego). Z powieści zaś, jak widać z wyniku plebiscytu, cieszą się największem powodzeniem dzieła o mniej lub więcej wyraźnej problematyce społecznej i powieści z życia szkolnego. Szkoda, że redakcja *Kuźni Młodych* nie zachęciła biorących udział w plebiscycie do umotywowania dokonanego przez nich wyboru. Byłoby to ciekawem uzupełnieniem plebiscytu — kto wie, czy nie więcej interesującem niż sam wynik.

ZA TECHNIKĄ CZY PRZECIW TECHNICE. — Nr. 13 dwutygodnika o chrześcijańską kulturę jutra (styl!) *Pax* umieścił kilka wyjątków z cyklu artykułów Mikołaja Bierdiajewa p. t. „Człowiek i technika". Wyjątki te — mimo że złożone są w niebardzo przejrzystą i logiczną całość (nie wolno sklecać mechanicznie wyjątków, jak to uczynił *Pax)* — w ciekawy sposób oświetlają zagadnienie techniki. Bierdiajew, stwierdzając, że „technika i ekonomika mogą w sensie duchowym być neutralne; atoli stosunek człowieka do techniki jest nieuchronnie duchowym problemem", charakteryzuje w następujących słowach współczesną Rosję: „Tutaj przeżywamy w rzeczywistości coś niebywałego, powstanie jakiejś nowej podstawy duchowej związanej z jakąś „techniczną eschatologją". Ta właśnie eschatologja — w pewnym sensie odwrócenie chrześcijańskiej — wytwarza charakterystyczny obraz komunistycznego bytowania, wywierający głęboko niepokojące wrażenie". Bierdiajew zarzuca chrześcijańskiej świadomości „że okazała się ona nieprzygotowana do ocenienia roli techniki i maszyny w życiu człowieka. Większość chrześcijan uważa technikę za sferę religijnie neutralną i duchowo obojętną, pewna mniejszość przeżywa zaś technikę w perspektywach apokaliptycznych. Oba zapatrywania nie dają zadowalającej odpowiedzi — w jednym wypadku jest to ucieczka przed współodpowiedzialnością za rezultaty ludzkich wyczynów, w drugim zrzeczenie się twórczej interwencji w losach świata. Lekceważenie jako też absolutne potępienie techniki wystawiły ducha i duszę ludzką na niszczycielskie procesy mechanizacji i technizacji i postawiły człowieka w strefie największych niebezpieczeństw". Reszta numeru niestety przedstawia się jałowo. Po atmosferze naładowanego elektrycznością artykułu Bierdiajewa dostajemy się w dobrze nam wszystkim znany klimat „ani gorący ani zimny" polskiej publicystyki katolickiej. Artykuł Bierdiajewa tem więcej tylko podkreśla jałowość reszty numeru.

WIECZNIE TO SAMO. — Za dużo dziennikarzy pisze o sztuce. Sztuka, w szczególności zaś literatura, uchodzą za takie dziedziny ducha ludzkiego, o których każdy może się wypowiadać. Trudno sobie wyobrazić, żeby normalnemu dziennikarzowi, który z trudem uporał się z maturą, przyszło do głowy oceniać dzieła naukowe; nawet o muzyce będzie się bał pisać, nie mówię już o sztukach plastycznych. Ignorancja jego wykazałaby się w kilku zdaniach. Co innego pisać o literaturze. Tu można pisać. co się każdemu podoba. Co więcej — można dawać recepty, nakładać obowiązki na pisarzy, ferować wyroki. Bardzo łatwo jest się w Polsce znawcą literatury. Żeby zjawisko „zadziennikarzenia" t. zw. „krytyki literackiej" dostrzec, wystarczy czytać recenzje z teatru i z książek w wielu pismach polskich. W ostatnich czasach nawet w pismach literackich można spotkać coraz częściej ludzi, których zdolności i znajomość rzeczy predestynowały do każdej innej pracy, tylko nie do „krytyki literackiej". Stan ten powinien wreszcie ulec zmianie — redaktorzy o pewnem poczuciu odpowiedzialności powinni od swoich „krytyków" wymagać conajmniej takich kwalifikacyj, jakich wymagają od swoich recenzentów muzycznych, plastycznych i t. p.

POLSKI FILM EKSPERYMENTALNY. W nr. 3 *Dekady* pisze p. Tross o usiłowaniach stworzenia filmu eksperymentalnego, żądając opodatkowania wwożonych do kraju nieartystycznych filmów zagranicznych. Z funduszu tego mianoby wydzielać odpowiednie kwoty na subsydja dla realizatorów filmów artystycznych polskich oraz na poważną prasę filmową. W tym samym numerze naiwny artykuł K. B. o socjologji współczesnej powieści. Artykuł nie zasługiwałby właściwie na omówienie, gdyby nie wyrażał typowo polskiej niefrasobliwości w traktowaniu polskiej literatury. Pan K. B. jak setki innych „krytyków" obwieszcza następujące wskazania estetyczne: „Należy pisać o wszystkiem i dla wszystkich. O wszystkiem, co stanowi istotę, wyraz i charakter dnia przedewszystkiem. Dlatego też autorem wartościowym może być tylko pisarz, który rozumie i odczuwa procesy społeczne i polityczne zachodzące w bieżącym okresie". Nad artykułem p. K. B. widnieje napis „Dekada jest pismem akademickiem"—artykuły w rodzaju cytowanego byłyby już niedopuszczalne w wyższych klasach szkoły średniej. A przecież były pisma akademickie, które pozostawiły piękną tradycję...

SMUTNE PORACHUNKI. — W 43 nr. *Wiadomości Lit.* odpowiada Józef Łobodowski na dialog Stefana Napierskiego p. t. „Rozmowa o Łobodowskim" (*I. K. C.* z 15 września). Przy sposobności charakteryzuje Łobodowski stosunki, panujące wśród t. zw. pisarzy proletarjackich. Autor zarzuca im brak samodzielności myśli („Nasi rewolucjoniści... nie mają wątpliwości. I skądże. Partja za nich myśli, wszelkie niejasności rozwikła"), stosowanie terroru moralnego (kierować się w ocenie zjawisk sumieniem, a nie partyjnym nakazem — to w języku oficjalnym nazywa się kontrrewolucją), rzucanie bezpodstawnych insynuacyj (podejrzewanie o przekupstwo). Metody, uprawiane przez t. zw. „pisarzy" proletarjackich, zasługiwały oddawna na napiętnowanie. Jest dziwne, że poważni i odpowiedzialni pisarze proletarjaccy dotychczas nie zareagowali w sposób dobitny na grasowanie w publicystyce literackiej nieuczciwych pismaków, którzy pod pozorem cenzurowania „prawomyślności" komunistycznej posługiwali się metodami nietylko nieetycznemi, ale także nad wyraz prymitywnemi. Czyżby źle zrozumiany interes partji miał ich powstrzymywać od tego?

O INTELEKTUALNIE OPÓŹNIONYCH. W nr. 6 *Poprostu* niejakiś ak. (dlaczego autor nie podpisuje artykułu nazwiskiem?) uważa, że brak w szeregach pisarzy proletarjackich najpoważniejszych autorów polskich wynika wyłącznie z ich „opóźnienia intelektualnego". Przytaczając nazwiska Gi-

de'a, Romain Rollanda, dodaje ak. ogólnikowo, że elita zachodnio-europejska odwróciła się od klasy panującej owych krajów dlatego, że wchłonęła maximum tego, co klasa ta mogła jej dać. Cechuje ją gorąca wiara, że zapłonęło nowe ognisko, niosące odrodzenie ludzkości; tylko w Polsce jest przeciwnie, a to ze względu na to, że pisarze starszego pokolenia nie przetrawili dorobku umysłowego mieszczaństwa. Oczywiście, znając tak doskonale kulturę zachodnią i jej elitę intelektualną jak p. ak., można być przekonanym o słuszności jego wywodów. Zwykle jednak — przynajmniej tak dotychczas bywało — podobni znawcy nie ogłaszali swoich rewelacyj — a każda szanująca się redakcja nie uważała podobnie prostodusznych rozumowań za rzecz godną druku. Tak dotychczas bywało.

W. BĄK

JESZCZE W SPRAWIE „BOGURODZICY"

P. J. Birkenmajer, ruchliwy autor poezyj, nowel, recenzyj etc. i płodny tłumacz, człowiek o niezwykłej pracowitości i budzącej uznanie pasji naukowej, napisał wiosną książkę o Bogurodzicy. Wystąpił w niej z hipotezą, że średniowieczna tradycja, uznająca św. Wojciecha za twórcę naszej najstarszej pieśni, jest słuszna i hipotezę tę usiłował uzasadnić. W recenzji, ogłoszonej w Nr. 38 *Pionu*, zająłem się tą hipotezą, wykazując jej bezpodstawność. Na recenzję mą p. Birkenmajer odpowiedział w Nr. 41 dwukrotnie od niej dłuższą repliką, pełną szczegółów i szczególików, cytowania nazwisk i tekstów, niekoniecznie mem zdaniem potrzebnych, bo nie wnoszących do dyskusji niczego nowego, poza sprawami chyba, których ja w recenzji nie atakowałem, a których replika broni.

Na tę rewję problematycznej erudycji nie odpowiadałbym, by nie wałkować jałowego sporu, gdyby nie metody polemiczne p. Birkenmajera, polegające na operowaniu drobnemi i niedrobnemi nieścisłościami. Nie będę ich wyliczał kolejno, pozycja po pozycji, by nie nadużywać cierpliwości czytelnika, pozwolę sobie natomiast scharakteryzować je na dwu przykładach.

I tak — mój sceptycyzm wobec wartości hipotezy p. Birkenmajera płynie, między innemi, z faktu, że Długosz napewno nie znał tradycji, przypisującej autorstwo pieśni św. Wojciechowi. Owo „napewno", którego w recenzji, wolnej od balastu przypisów i cytatów, bliżej nie uzasadniałem, ma swoje uzasadnienie w znajomości dzieła Długoszowego. Gdyby Długosz, miłośnik legend, znał tradycję o św. Wojciechu, niezwykłości takiej, opromieniającej świętego patrona blaskiem glorji poetyckiej, nie byłby pominął. A okazji do wspomnienia jej mu nie brakło, o św. Wojciechu pisał bowiem conajmniej dwukrotnie, w dwu różnych dziełach, pochodzących z różnych lat, samą zaś pieśń wspomniał dwukrotnie w księdze „Historji", pisanej znowuż kiedyindziej. Odległość chronologiczna owych wzmianek wyklucza przypuszczenie, że historyk wzmiankę o tradycji przeoczył.

P. Birkenmajerowi nie podoba się moje „napewno" i rzecz całą tłumaczy on daleko prościej. Długosz, jego zdaniem, poprostu zapomniał o autorstwie św. Wojciecha, zdanie to zaś uzasadnia relacją o swoich pracach nad papierami Sienkiewicza i niepotrzebnemi komplementami pod adresem mojej erudycji. Mnie się wydaje, że uzasadnienie jest tu inne, że mianowicie p. Birkenmajer... zapomniał zapoznać się bliżej z dziełami Długosza, ich bowiem powierzchowna nawet znajomość byłaby go powstrzymała od dziwnego wyjaśnienia danej sprawy krótką pamięcią znakomitego kronikarza.

Ale słaba znajomość pisarza, którego się cytuje niedokładnie, by z cytatów tych wysnuć fałszywe wnioski, nie jest ostatecznie grzechem śmiertelnym. P. Birkenmajerowi jednak zdarzyła się w replice rzecz nieco gorsza, wywołana — przypuszczam, — przez defekt jego pamięci.

Czytam tam ustęp taki: „O innych uwagach prof. Krzyżanowskiego na temat Theotokos — zaczerpniętych przez niego z literatury Pilata — nie będę się rozwodził, gdyż na temat owego tekstu Ciołka już dawno napisałem artykuł specjalny, w którym wykazałem różne nieścisłości w informacjach tego źródła: artykuł ten ukaże się w najbliższym zeszycie *Ruchu Literackiego*, niestety spóźnionym o parę miesięcy (kwietniowym!)".

W relacji tej, niezbyt zresztą jasno sformułowanej, niewiadomo bowiem, czyje to informacje autor zamierza sprostować, Pilata czy Ciołka, są dwie... nieścisłości. Znaczy ona, jeśli się nie mylę, mniej więcej tyle: Krzyżanowski powtarza błędne zdanie Pilata, nie wiedząc o tem, że zdanie to „już dawno", bo jeszcze w kwietniu Birkenmajer sprostował w specjalnym artykule. Pisząc to, p. Birkenmajer poszedł za wskazówką krótkiej pamięci, pomylił daty i osoby. Rzecz bowiem w tem, że na trzy dni przed końcem kwietnia był on u mnie i w toku rozmowy dowiedział się, że w związku z Bogurodzicą warto było wspomnieć łaciński hymn Ciołka, o którym... zapomniał. Chcąc mu go przypomnieć, a nie mogąc znaleźć tekstu, powiedziałem, że interesujący nas urywek można przecież znaleźć w Pilacie i na dowód wskazałem odpowiednie miejsce. Pilata mam oczywiście nie po to, by mi zdobił półkę, lecz po to, by z niego „czerpać wiadomości", zarówno dla siebie, jak choćby dla tych, którzy do pożytecznej tej książki uciekają się rzadziej. Nie o to jednak chodzi, lecz o fakt, że p. Birkenmajer, zamiast napisać, że za mojem pośrednictwem „czerpał" z Pilata, omyłkowo postawił mnie na swojem miejscu, no i o to, że jego artykuł o Ciołku powstał chyba nie w kwietniu, bo w kwietniu p. Birkenmajer o hymnie Ciołka wogóle nie wiedział. Nieścisłość druga płynie stąd, że między tem, co o Ciołku mówię w recenzji, a co o nim znaleźć można w książce Pilata, niema nic wspólnego, widocznie jednak autor repliki, poniesiony zapałem polemicznym, zapomniał rzecz tę sprawdzić.

JULJAN KRZYŻANOWSKI

K R O N I K A

DRUGI ZJAZD SOCJOLOGÓW

obradować będzie w dniach 1, 2 i 3 listopada 1935 r. w Warszawie (Pałac Staszica).

Pierwszy dzień Zjazdu — piątek, 1 listopada 1935.

Godz. 10: Otwarcie Zjazdu (sala Naukowego Towarzystwa Warszawskiego, Warszawa, Pałac Staszica, Nowy Świat 72); zagajenie; wybór władz Zjazdu.

Godz. 11: Obrady plenarne: prof. Ludwik Krzywicki: Dobory społeczne a kwestja wzrostu ludności; prof. Jan St. Bystroń: Badania socjologiczne a planowanie życia społecznego.

Godz. 16.30: Obrady w sekcjach: Sekcja ogólno-socjologiczna. Prof. Stanisław Poniatowski: Zagadnienie genezy i rozwoju w etnologji; dr. Paweł Rybicki: Granice kierunku formalnego a element historyczny w socjologji; ks. doc. Franciszek Mirek: Wędrówki jako narzędzia styczności społecznych; dr. Mieczysław Szerer: Złudzenia wymiaru sprawiedliwości; dr. Włodzimierz Tarło-Maziński: Rozwój a postęp. Przyczynek do semantyki socjologicznej. Sekcja socjologiczno-wychowawcza. Prof. Helena Radlińska: Rola badań społeczno-pedagogicznych w planowaniu organizacji życia społecznego; prof. Zygmunt Mysłakowski: Uraz środowiskowy jako zagadnienie psychologiczne i socjologiczne; prof. Ludwika Dobrzyńska-Rybicka: Przodownictwo i kierownictwo jako czynnik wychowawczy; Rudolf Narloch: Samorzutne zespoły dziecięce w wieku szkolnym; dr. Władysław Okiński: Badania nad zespołami samokształceniowemi wśród młodzieży; dr. Feliks Gross: Badania nad środowiskiem robotniczem i planowem samokształceniem.

Drugi dzień Zjazdu — sobota, 2 listopada 1935.

Godzina 10: Obrady w sekcjach: Sekcja socjologiczno-wychowawcza. Dr. Gustaw Ichheiser: Dwuznaczność w pojęciu zdolności i znaczenie jej przezwyciężania dla socjologji wychowania; dr. Wojciech Gottlieb: Autonomja wychowania; dr. Bogdan Suchodolski: Dwuwarstwowość kultury a wychowanie; Halina Krahelska: Przeobrażenia w psychice mas jako przyczynki do kwestji kryzysu ustroju; dr. Andrzej Niesiołowski: Problemat aktywności kulturalnej. Sekcja ludnościowa. Dr. Stefan Szulc: Spadek stopy urodzeń. Postawienie zagadnienia; prof. Leopold Caro: Problem przeludnienia; Samuel Fogelson: Zarys demograficzny Polesia.

Godzina 16.30: Obrady w sekcjach: Sekcja socjograficzna. Edward Arnekker: Metodyka badań nad grupą społeczną; Piotr Pilczuk: Wstępne badania nad blokiem (dzielnicą) warszawskim; dr. Wiktor Bronikowski: O potrzebie pisania socjologicznych monografij wsi polskich; inż. Borys Kremer: Z zagadnień socjograficznych miasteczka kresowego; dr. Aleksander Hertz: Pracownicy umysłowi jako przedmiot badań socjograficznych. Sekcja społecznych zjawisk marginesowych. Prof. Stefan Czarnowski: Zorganizowana a niezorganizowana literatura grupy (na podstawie materjału celtyckiego); Mgr. Nina Assorodobraj: Stosunek do „człowieka luźnego" w Polsce w. XVIII; doc. Zdzisław Zmigryder-Konopka: Homines liberi i peregrini w zaraniu Rzplitej Rzymskiej; mgr. Eugenjusz Aleksandrowicz: Aspekty socjologiczne Kozaczyzny ukrainnej.

Trzeci dzień Zjazdu — niedziela, 3 listopada 1935.

Godz. 10: Obrady plenarne: prof. Florjan Znaniecki: Projekt zbiorowych badań socjologicznych nad społeczeństwem państwowem polskiem jako całością. Sprawy Towarzystwa Socjologicznego. Zamknięcie Zjazdu.

Komitet organizacyjny Zjazdu: Przewodniczący—prof. L. Krzywicki, sekretarz—dr. J. Chałasiński, członkowie—prof. J. St. Bystroń, dyr. K. Korniłowicz, prof. W. Makowski, dr. St. Rychliński, prof. F. Znaniecki.

Karty uczestnictwa w cenie 10 zł. wydaje Biuro Zjazdu w dniu otwarcia, Seminarjum Socjologiczne U. J. P., Pałac Staszica, Nowy Świat 72, Warszawa.

Karta uczestnictwa daje prawo do bezpłatnego uzyskania Księgi z referatami Zjazdu, do nabycia III tomu 1935 r. *Przeglądu Socjologicznego*, 814 stronic za cenę 16 złotych (zamiast 22 złotych) oraz innych wydawnictw Polskiego Instytutu Socjologicznego ze zniżką 30%. Komitet czyni starania o uzyskanie zniżki kolejowej w drodze powrotnej.

Obrady plenarne i obrady sekcyj odbywają się w Pałacu Staszica na II piętrze.

LISTY DO REDAKCJI

O NAPIS NA GROBOWCU CZARNIECKIEGO

W związku z cennemi uwagami znakomitego krytyka p. K. W. Zawodzińskiego w Nr. 41 *Pionu* w powyższej sprawie, wyjaśniamy niniejszem, że na pierwszym modelu grobowca znalazł się błędny napis; nie pochodził on od fundatora grobowca-pomnika, t. j. od Komitetu Propagandy Czynu Polskiego i przez Komitet oczywi cie nie był przyjęty. Na wybudowanym grobowcu w Czarncy Komitet Propagandy Czynu Polskiego nie umieścił jeszcze napisu, ponieważ z powodu odroczenia odsłonięcia pomnika do wiosny przyszłego roku, odłożono także wyrycie napisu. Komitet z wdzięcznością wita dyskusję na ten temat, gdyż to może ułatwić należyte uczczenie Wielkiego Żołnierza-Obywatela.

(—) Dr. Aleksander Wojtecki
Przewodniczący
Sekcji Obchodu ku czci
Hetm. Czarnieckiego

Warszawa, dn. 21 października 1935 r.

CZYTELNIK *PIONU* WYSŁUCHA W POLSKIEM RADJO OD 3. XI. do 9. XI. 35 R.

3. XI. g.:
13.00—13.20: Fragment słuchowiskowy z dramatu C. K. Norwida *Noc tysiączna druga* w oprac. dr. Wł. Arcimowicza (z Wilna).
18.30—19.05: Słuchowisko oryginalne Zofji Nałkowskiej *Noce Teresy* (wznowienie).
19.45—20.00: „Co czytać"?—(nowości poetyckie) omówi Władysław Sebyła.
20.45—20.50: Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego.

4. XI. g.:
21.30—22.00: *Współczesny Kraków literacki*—audycja w oprac. Kazimierza Czachowskiego (z Krakowa).

5. XI. g.:
20.10—22.30: Koncert symfoniczny (ze Lwowa) pod dyrekcją A. Sołtysa i L. Mucnzer (fortepian).

6. XI. g.:
21.00—21.40: X-ta Audycja z cyklu *Twórczość Fryderyka Chopina* (1810—1849) w oprac. prof. Zdzisława Jachimeckiego.
21.40—21.55: *Kwadrans poezji.*

7. XI. g.:
21.00—21.35: Słuchowisko oryginalne Jerzego Szaniawskiego *Zegarek*. Osoby: Szef—Stefan Jaracz, Jan—Michał Znicz, Pani — Mieczysława Ćwiklińska i in. Reżyserja St. Perzanowskiej.

8. XI. g.:
21.50—22.20: R. Schumann: Kwintet fortepianowy Es-dur, op. 44.

9. XI. g.:
15.00—15.15: Odczyt frag. z noweli Józefa Conrada *Jądro ciemności* p. t. „Do Afryki".

10. XI. g.:
18.15—19.00: Słuchowisko oryginalne Jerzego Wolfa *Czy Mr. Brown jest winien?* (wznowienie). Osoby: Brown—Jan Kreczmar, Dixie—Halina Zielińska, Spitz—Feliks Chmurkowski, Schulz—Tadeusz Olsza i in.
20.00—20.45: Frag. koncertu z okazji 50-lecia Krakowskiego Chóru Akademickiego (z Krakowa).

KONKURS „PIONU"

Podajemy wyniki naszego konkursu, trwającego od 1 do 30 września i następnie przedłużonego do 15 października r. b.

W konkursie wzięło udział 136 osób.

Nagrody otrzymali następujący uczestnicy konkursu:

P. *Auderska* Halina (Warszawa) i p. *Wajdówna* Emilja (Gdynia) — w postaci rocznej bezpłatnej prenumeraty *Pionu* oraz wyboru książek wartości 100 zł.,

pp. *Bober* Jan (Nowogródek), dr. *Jerschina* Stanisław (Przemyśl), *Młyniec* Franciszek (Kraków), *Skulski* Ryszard (Lwów) i *Woyna-Gwiaździński* Ryszard (Koło) — w postaci rocznej bezpłatnej prenumeraty *Pionu*.

Niezależnie od nagród, przyznanych zgodnie z regulaminem konkursu, Administracja *Pionu* rozsyła równocześnie wszystkim uczestnikom konkursu pamiątkową książkę: WACŁAW BERENT — *Onegdaj*, wydaną na luksusowym papierze nakładem tygodnika *Pion* i opatrzoną autografem autora.

PROSIMY SZ. PRENUMERATORÓW O ODNOWIENIE PRENUMERATY NA KWARTAŁ CZWARTY.

REDAKCJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, telefon 9.24-00; czynna w poniedziałki, środy i piątki od godziny 18 do 19. Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Al. Ujazdowskie 20, tel. 9.91-08; czynna codziennie. Prenumerata w kraju: mies. 2 zł.; kwart. 5 zł.; zagranicą: mies. 3 zł., kwart. 8 zł.
Ogłoszenia: za wiersz 1 mm. szerokości 1 szpalty — 60 groszy za tekstem; 80 groszy w tekście. Zastrz. miejsca 25% drożej. Konto P. K. O. Nr. 18.590.

Redaktor naczelny: WŁODZIMIERZ ANTONIEWICZ — Wydawca: za Towarzystwo Kultury i Oświaty JAN KASIŃSKI

Drukarnia Współczesna, Sp. z o. o., Warszawa, Szpitalna 10.